

TYGODNIK ILLUSTROWANY



KSIAŻKA Z OBRAZKAMI
Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“ w Salonie T. Z. S. P.

JESSIE WILLCOK SMITH

Prądy współczesnej estetyki usiłują zbliżyć dziecko ze Sztuką. Nic łatwiejszego: Sztuka jest najwłaściwszym, najbardziej swoistym światem dziecka. Nierozwinięty mały człowiek, zanim zacznie *myśleć* — przedewszystkiem *marzy*: stan ten znajduje znakomity wyraz w popędzie do rysowania pantomin i tajemniczych, mało komu zrozumiałych opowieści. Zmysły rozwijają się i żądają nasycenia (nie należy sądzić, że przytaczam ten wyraz w znaczeniu jednostronnie nadużytem): oczy marzą o czemś nadzwyczajnym i prześlicznym — uszy o czemś dziwnym i słodkim... Cała dusza dziecka wyrwa się wprost do tych właśnie rozkoszy, które może mu dać jedynie Sztuka. Na to się ogólnie nie uważa zupełnie, lub za mało: skoro dziecię podrośnie, poczyną się w niem przedewszystkiem i wyłącznie, nieraz bardzo forsownie wykształcać: umysł. Dzieci idą wtenczas do szkoły i uczą się. Czego się uczą? Rzeczy, które będą stanowiły podwaliny ich wiedzy. Czego tam jednocześnie zapominają? Rzeczy, które stanowiły podwaliny ich niegdyś tak lotnej duszy... Życie dalsze załatwia się z resztą bardzo szybko: tworzy się z czasem zwarta społeczność najzupełniej obca wpływowi Sztuki i nie tęskniąc do nich nigdy.

Nasze wychowanie estetyczne jest więcej niż zaniedbane. Rola Sztuki sprowadzona jest do *minimum*; wytwarza się stan chory, albowiem dzięki ogólnej w tej mierze ignorancji powstaje sztuczna naraźnia na ciele społecznym, naraźnia pasorczytnia: plemię artystów. Naraźnia ta stałaby się od razu pożyteczną, poważną i niezbędną częścią organizmu, gdyby ogół był inaczej przygotowany, gdyby dla przeciętnego artysty nie jego mechanika, nie to, że maluje, czy rzeźbi, ale *jak* to czyni, było godnym podziwu...

Ażeby te błogie rezultaty osiągnąć, nie potrzeba zbytnich wysiłków: należy tylko pozostawić dorosłych w spokoju, a zwrócić się do czystych, drogich, złotych serc dzieci — tam zapukać należy.

Szerzenie kultury estetycznej w duszach dzieci nie jest bynajmniej apostołstwem: dzieci są artystami z zamiłowania i z zasady.

Cała praca przedstawia się raczej, jako wtórny rozsądny, akompaniament, udzielany z wyżyn dla kwilących w dole melodyi.

Nie wdrażanie zatem — ale *ułatwienie* dziecku zrozumienia wielu rzeczy w tej mierze winno być naszym zadaniem.

Dziecko wśród sztuk nie czuje się obce, ani nieszczęśliwe — jest to jego świat najwłaściwszy i najbardziej kochany. Dominującą rolę odgrywają tu wrażenia wzrokowe i odpowiadające im: malarstwo. Oko dziecka lubi patrzeć całymi godzinami i *wypatrywać*. Należy je uczynić inteligentnym, *nauczyć patrzeć dobrze*.

Trudno uczyć czegoś, czego się nie umie; ale i na to jest sposób: człowiek, który *umie przedewszystkiem patrzeć*, to artysta plastyczny: malarz lub rzeźbiarz. Jemu należy powierzyć te sprawy — nie dosłownie, aby sam uczył, ale aby uczyły jego dzieła, praca jego inteligentnych oczu i posłusznej ręki.

Malarstwo jest tu ważnym atutem: wiadomo, jak silnie oddziaływają na dzieci wszelkie zabarwienia. Później, kiedyśmy się już stali ludźmi, nie zwracamy na to uwagi, jak wielkie wrażenie sprawia na nas ten lub inny kolor...

Pamięć wzrokowa u dzieci jest nieraz zdumiewająca; dzięki nierozproszeniu umysłu dzieci są w stanie zauważyć momentalnie i spamiętać szczegóły wzrokowe, dostępne tylko dla aparatu fotograficznego, co nieraz później uważane jest przez starszych, jako zwykłe bredzenie lub fantazja.

Ci kochani mali ludzie widzą wszystko przytem w powiększeniu, stanowią świat nierównorzędny, mniejszy, zachowują się, jak widzowie, wobec czarowanej feryi...

Wykształcenie patrzenia, kultura tego, co tak bujnie rozwija sama natura, jest jednym z najważniejszych zadań wykształcenia estetycznego.

Tu następcza się myśl o poważnej potędze... Cóż uczynimy z Naturą i jej pięknem?

Wytlómaczy je Sztuka. Nie każdy człowiek dorosły może zrozumieć piękno natury, nie możemy żądać tego od dziecka: nie przez naturę do sztuki, ale odwrotnie. Natura daje wrażenia kolosalne i nieuchwytnie; Sztuka udziela je w formie dostępnej i zdecydowanej.

Dom, w którym wrostamy, pokój do zabawy czy mieszkanie — wszystko powinno być w miarę możliwości urządzone tak, jak ciche, zgodne, miłe opowiadanie o Pięknem. Szkoła, ten drugi większy dom dziecka, winna utracić już raz na zawsze ponury, więzienny charakter katowni. Jasna, zajmująca, wesola — powinna być przybytkiem, do którego dusza dziecka wstępowałaby ochotnie i radośnie, aby nie utracić nic z tych skarbów poezji, jakimi udarowało ją istnienie: przeciwnie, aby je pogłębić, zrozumieć, pomnożyć i rozświetlić...

Niestety, pomimo że niejedyn pedagog starej daty obruszy się na mnie; poważę się mieć wizję szkoły, w której zajęcia codzienne poprzedzane są przez śpiew chóralny i muzykę. Nie należy przy całym obecnym ruchu estetycznym zapominać o tej najśodszej siostrze ducha — samymi rysunkami i modelowaniem z gliny nie przyspieszymy ewolucji, a dziwna pogarda szkolna dla muzyki i śpiewu poczyną już zastanawiać. Tymczasem rzeczy te kojarzą się nader silnie: i w rysunku liniowym, i w kolorystyce świata ton muzyczny, melodia, rytm — są sprawami ważnymi, o znaczeniu podstawowym.

Dziecko, wychowane wśród ciągłej opieki Sztuki, nie wyrośnie na artystę, ale wykarmi szlachetnie swą podatną, małą duszę i wyniesie ze szkoły tę pamiętną cześć dla Piękną, która pośrednio wiąże się z etyką życiową, a praktycznie potrąca o higienę i zdrowie.

Zdobienie plastyczne domu i szkół rozwija się ciągle, z czasem stanie się naturalnym i obowiązkowym: należałoby jak najczęściej wzywać do pomocy same dzieci i, udzieliwszy wskazówek, polecać ozdobienie własnego pokoju lub klasy, w której się uczą. Rozwinie to konieczną samodzielność i wzmocni w kierunku twórczym, który w dalszej sferze życia przybierze postać tak poszukiwanej u nas cnoty inwencji.

Wielką pomocą w całej tej pracy może i powinna być książka. Kiedy się przejrzy dział literatury dziecinnej zagranicą, ogarnie nas zdumienie!

Pod względem tym przoduje Anglia: artyści żadnych narodów nie potrafili się tak skojarzyć i stopić niemal w jedno z wyobraźnią dziecka, jak malarze angielscy. Wydawnictwa Waltera Crane'a, obrazki kolorowe Artura Racham'a, Edmunda Dulac'a, Wheelhouse'a — są to zdumiewające małe arcydzieła koloru, rysunku i przewspaniałej dziecinnej, humorystycznej - pieszczotliwej gracy! To uwzględnienie drobnej, leciuchnej szczypty humoru, ta domieszka niewinnej groteski w najpoważniejszych i najbardziej poetycznych skądinąd tematach — stanowi przewagę sztuki angielskiej nad innymi.

Surowszą, chociaż niezmiernie pożyteczną jest w tym kierunku sztuka skandynawska — albumy zaś Carla Larssona, ilustrujące sielski żywot i codzienne wydarzenia dnia, proszą się o naśladowanie.

Muza niemiecka chętnie i zabawnie opowiada dzieciom bajki, które ilustruje z humorem. Artyści są dzielni, niewypowiedzianie wyrobieni i zręczni.

Wydawnictwa Gerlacha w Lipsku, zawierające najpopularniejsze baśnie europejskie, zachwycają układem i wykonaniem całości, jako książki zdobnej i ciekawej. Sztuka niemiecka nie posiada za to tej wdzięcznej gracy dziecięcej, który uwzględniają świetnie i bez trudu Angliki.

Humor niemiecki jest znacznie cięższy i zajmuje więcej miejsca. Oba narody są znakomitymi opowiadaczami bajek: do Anglii należą sprawy czarodziejskie w zakresie bardziej domowym, bliższym dziecka, do Niemców zaś historie, mające już swoją ustaloną tradycję — baśnie ludowe i narodowe. Francuzi stoją pod tym względem o wiele niżej: posiadają wprawdzie świetnych rysowników — taka epopea Joanry d'Arc przez Bou-tet de Monvel'a jest arcydziełem — ale nie są to rzeczy z tak wyraźnym i tklivem nachyleniem do świata dziecinnego, jak rysunki Anglików lub Niemców.

Holandya wytwarza doskonale również książki dla małych dzieci, a kombinowanie w nich niewielu barw we wdzięczną całość doprowadza często do perfekcji! Wogóle narody, u których rodzina i dom są podstawami życia, mają literaturę dziecięcą piękniejszą i ciekawszą: tłómaczy to się samo przez się.

Ze słowiańskich narodów Czechi i Rosyja nie pozostają w tyle: ilustracje rosyjskich bajek Bilibina są nieraz znakomite i doskonale wytrzymane w stylu narodowym. Kiedy przejdziemy do książek polskich, przejmujemy nas jeno żal...

Czy nie posiadamy artystów?

Specjalnie wykwalifikowanych t. j. rysowników-illustratorów nader niewielu. Kochających dzieci i pracujących nie tylko dla zarobku, ale przez miłość dla nich, chyba jeszcze mniej. Ale ostatecznie kadry takie dałoby się sformować; wchodzą znów w drogę wydawcy książek.

Czy ich niema? Czy są bardzo niezamożni i nie mogą wydawać rzeczy nowych i ładnych?

Ani jedno, ani drugie. Winien tu ktoś trzeci, a jest nim: społeczeństwo.

Ono jest zawsze oskarżane i winne: coś począć — taki już jego los.

W tym wypadku oskarżenie jest i słuszne, i niezbyt obciążające.

Spółeczeństwo nie może żądać dla swych dzieci rzeczy bezwzględnie pięknych i dużo, bo doniosłości ich nie rozumie, a na pięknie się nie zna.

I tu dobiegliśmy do miejsca, gdzie to koło duże, pozornie błędne, spaja się w całość.

Wykształćmy pokolenie, a będziemy mieli nowe społeczeństwo. Cała zachodnia Europa już o tem pomyślała, czas teraz na nas: w tym celu właśnie urządza się wielkie ekspozycje Sztuki dla dzieci, w tym samym także celu należy na te wystawy chodzić, istotę ich badać i znalezione tam prawdy, pozornie mało ważne, jak najrychlej i najintensywniej wprowadzać w życie.

Jeżeli słusznym jest zwrot w kierunku gimnastyki i wszelkich sportów, który ma wpłynąć na wzmocnienie i uzdrowienie rasy, to niemniej konieczną jest myśl o wykształceniu duszy zbiorowej, która, jak dotychczas, ilekroć znajdzie się w obliczu Piękną i Sztuki, zachowuje się obojętnie lub niedołącznie.

Miłości ku pięknu nie należy dzieciom wszczeptać, posiadają ją same: trzeba z nią tylko współdziałać i rozwijać.



CIENIE

Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“ w Salonie T. Z. S. P.

M. OSTERLIND

EDWARD SŁOŃSKI:

JESZCZEM WCIĄŻ PEŁEN WIOSNY...

Jeszcze wciąż pełen wiosny
i czekam na swój los,
a już mi jesień późna
siwizną srebrzy włos.

Mówią mi przyjaciele:
— Ty dzisiaj już nie ten...—
I prawda—we mnie codzien
umiera jakiś sen.

Gaśnie mi zwolna życie,
niby w popiele skra,
nad uchem dziwny grajek
na skrzypkach ciągle gra...

Dobywa coraz głębszy
i uroczystszy ton —
w drewnianych skrzypkach płacze,
jak na pogrzebie, dzwon...

— To nic, druhowie mili,
że mi bieleje włos—
jeszcze jest moja wiosna,
jeszcze mój przyjdzie los!

* * *

Czekam tak swego losu
jeden i drugi rok...
Dni moje coraz krótsze
odchodzą w szary mrok.

Odchodzą w senną cichość
gdzieś za dziesiątki staj,
a mnie się śni po nocach
rozkwitający maj.

Coś się do lotu zrywa,
coś długo woła w dal...
stary już jestem, stary!
a tak mi wiosny żal.

Na kwietnik kolorowy
ktoś zsywał miał i gruz,
ostatnie georginie
pod oknem zwarzył mróz.

Mówią mi przyjaciele:
— Ty dzisiaj już nie ten,
nalał cię gorzkim jadem
twój niespokojny sen.—

— To nic, druhowie mili,
jeszcze pójdziemy w tan,
zakwitnie dla mnie paproć
w nocy na Święty Jan...

* * *

Takęś mi przeszła, wiosno,
takęś odeszła stąd,
że nie zostało śladu
Zielonych twoich Świąt.

Spaliło złote słońce
dojrzewający łan,
i paproć nie zakwitła
w nocy na Święty Jan.

Żaden się sen nie sprawdził,
żaden się nie stał cud —
pod rdzą jesieni kona
ostatnia z moich złud.

Mówią mi przyjaciele:
— Przekwitł twój wonny maj!
Baśniom o nowej wiosnie
raz wreszcie spokój daj!—

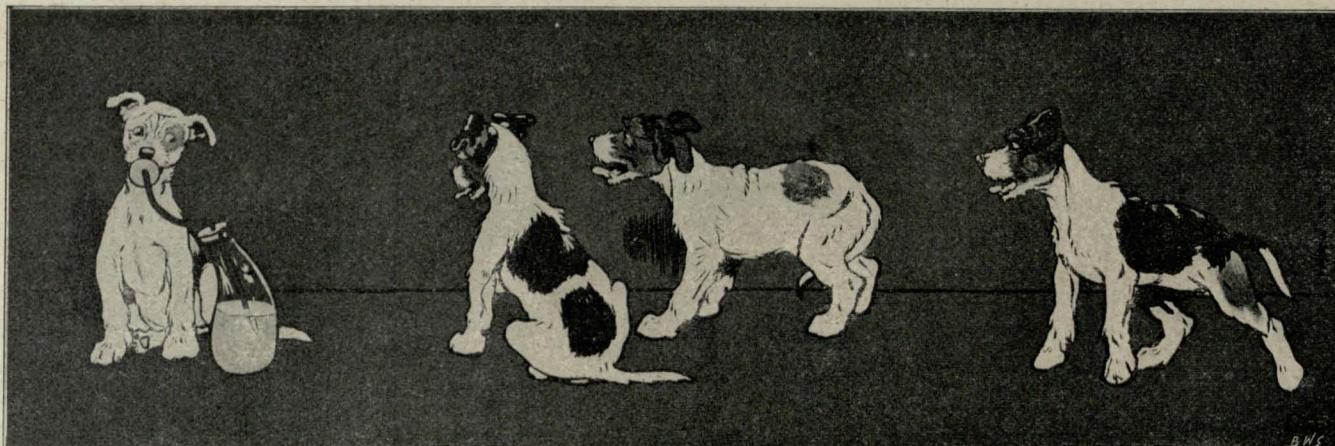
— To nic, druhowie mili,
jeszcze nie przeszedł czas,
kwitnący maj napewno
przyjdzie niejeden raz...

* * *

Jeszcze rok jeden minął
i jeszcze jeden rok —
duch, szukający słońca,
odszedł w wieczysty mrok.

Wzięli druhowie trumnę
i opuścili w dół...

— Teraz to już napewno
będziesz tu wiosną czuć! —



ZAZDROŚĆ

Fryz z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“ w Salonie T. Z. S. P.

CECIL ALDIN

GABRYELA ZAPOLSKA:

TAKA BYŁA SŁODKA!...

NOWELA.

1)

I.

Mówiono, że to był dom „pod białymi różami“.

Tak w zakładzie nazywano szalet szwajcarski, po którym spinały się białe róże, a we wnętrzu którego były białe kobiety, białe, bo krwi nie miały.

Ale to nie było żadne określenie tego domu, koło którego snuły się wczesnym rankiem czarne rozszczebiotane kosy.

Bo to nie był dom pod różami. To z fali róż białych wytryskały jego lekkie szarawe ściany. Z fali słodkich, białych, niewielkich, a w gęste grona zbitych białych róż. Całymi płatami słały się przy podmurowaniu i były w górę, jakby spienione bałwany, gdzieś gdzieś oznaczone delikatną zielenią drobnego listowia.

Po werandach śniegiem pięły się czarowne i niezmożone. Do okien wkradały się i zawisały od balustrad ganeczków. Takie białe, takie wonne, takie czyste, a płatki z nich, gdy leciały, zdawały się rozpylić w powietrzu. O wczesnym ranku brylantami były posypane i tęcze w nich grały. Na parterze, w sali hydroterapii słycać było szum wody i gwar ludzkich głosów. Z daleka orkiestra grała walca. Dom pod białymi różami budził się cały w woni i kwiatach. Czarne kosy zaglądały do okien i dziobami pukały w szyby.

— Śpicie tam, wy, chorzy? chodźcie patrzeć, ile rankiem rozkwitło się róż...

Chorzy wstawali o ile mogli najszybciej i biegli do okien. Żółte ich twarze i ten dziwny, niepewny wyraz, jaki mają długo chorzy, witał ranek.

Nieśmiało stawali w obramowaniu róż i wychudłymi rękami uchylali okna.

— Wy dla nas kwitnicie, wy?

I szybko cofali ręce, oszpecone artretyzmem, drżące nerwowo, jakby lękali dotknąć się tych delikatnych, wonnych kwiatów, które ku nim się śmiały.

— Wy dla nas kwitnicie, wy?

I znikali w głębi swych pokoi, szukając opasek, bind, prześcieradeł. Róże zwilżyła rosa. Tęcza w niej grała. Tęcza ta uleci

w etery błękitne i zginie. Szorstka dłoń kąpielowego czeka.

Jak daleko choremu człowiekowi do róży!

Czasem przebiegła młoda pokojowa, zerwała kilka róż i zatknęła na piersiach za bawetem fartuszka.

Śmiała się przytem wesoło:

— O! wy moje kwiaty!...

Lecz, już wchodząc do pokoju chorego, gasiła uśmiech, i gasła swobodna piękność kwiecica.

— Jak zdrowie dzisiaj?—pytała układnie, podając śniadanie.

Często milczenie jest odpowiedzią.

Bo ci, którzy długo chorują, nie mają słów.

Milczą.

Bo czemu mówić mają?

Czy cieszyć się słońcem, kwiatami i tem, że żyją?

Chyba tem ostatniem.

Że jeszcze żyją.

II.

Ale jedno z okien domu pod białymi różami otwierało się wcześniej, niż inne.

Otwierało się szybciej, jakoś bardziej zdecydowanie, gestem kogoś, kto ma zdrową, nie zdeformowaną rękę.

I w oknie tem pod całą nawałnicą róż ukazywała się postać kobieca.

Przesłodka, madonnowata.

Fraszka Ghirlandajo, Della Robia i ich rozmodlone, dziewicze twarze, które nigdy, zda się, złej myśli nie miały.

Czem byli aniołowie Fra Angelico da Fiesole w sukniach gwiazdzistych, z włosami odwinętymi, jak pani Pompadour odwijiała w tyle lat później, wobec tego czoła, ozłoczonego półksiężycem złota, o polysku miedzi?

W wyrazie zaś twarzy miała ta biała Donna coś z lecących geniuszków Piotra Pawła Prudhon'a.

Słowem, synteza słodyczy zaświatowej i ziemskiej.

A tak była białą, złotowłosą, błękitnoką i tak miała cudny owal delikatnej twarzyczki, iż niema ani pendzla, ani pióra, które oddałyby ten cud mogło. Gdy powiał silniejszy wicher, drżało się nie o róże, ale o nią, aby nie wionęła w przestrzeń, aby planować pod obłokami, z oczyma przymkniętymi i rękami złożonymi na piersiach. Bo cała była tą wiotką, przejrzystą, przedziwną, na której, zda się, cudem trzymają koronki, etaminy, krepony. Nogi jej były wązkie i długie, ręce tak samo. Karnacya ciała miała tony róż, które otaczały jej okno. Gdy, odziana w długi, lekki, przedziwnie seledynowy szlafrok, opierała się o ramę i słodkie turkusy swych oczów słała w przestrzeń, zamrzyć się, zapatrzeć.

Włosy długimi pasmami opadały jej na ramiona. Czasem zarzucała na głowę gazową, białą zasłonę. I wtedy było to coś tak prymitywnego, że aż olśniewało. A gdy kto z drugiego okna lub z dołu przemówił do niej, nie zmieniała pozy, ale usta jej okalał tak słodki uśmiech, taki wykwiłt anielskości rozjaśniał twarzyczkę, że chory, pozdrawiający ją, chłonał w siebie tę słodycz i upajał się nią.

— Jaka słodka!—mówili wszyscy.

A ona szła w tej smudze słodyczy i zdawała się być dobrą wróżką. Dziewicą świętą, idącą wśród złotej pustyni areny cyrkowej, niosącą męczennikom i dzikim zwierzętom biel róż w fałdach swego welonu i czystą rezygnacyę najczarowniejszej dobroci.

W tem sanatorium podwiekańskim, przylepionem u stóp góry, w szmerze fontann i woni kwiecica, całe setki chorych łudziły się, że znajdą to, co z wielkim biciem skrzydeł ulała od nich w nieskończoność.

Ale uluda jest słodka. Choćby opłacić ją męką i ofiarą ostatków pieniężnych. Byle dalej od tej czarnej, zimnej, tak dobrze zamkniętej trumny. Może się uda.

Może.

(DCN)



NIEZADOWOLONA

C. LARSON



Z KSIĄŻKI „THE YELLOW DWARF” (ZÓŁTY KARZEŁ) WALTER CRANE

Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka” w Salonie T. Z. S. P.

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI

POWIEŚĆ.

41)

— „Ale cóż znowu!”...—rzekł do siebie.—Stryj może chwilowo nie mieć pieniędzy... może go zwymyślać listownie za wmieszanie się do podobnej awantury... Ale żeby stryj odmówił mu pieniędzy wówczas, gdy on dla bezpieczeństwa musi wyjechać zagranicę, to Kazimierzowi nigdy nie przyszłoby do głowy.

Dopiero trzeciego dnia w południe przyjechał pan Klemens z miną nieco uroczystą. Ale ponieważ dzień był piękny, a Kazimierz przed półgodziną wrócił ze spaceru z panną Jadwigą, więc znajdował się w doskonałym humorze.

— Widział się pan ze stryjem?—zawołał wesoło.—Ma pan list?

— Mam—sucho odpowiedział pan Klemens i wydobył niewielką kwadratową kopertę z herbem.

Byli na dziedzińcu i weszli do kancelaryi Linowskiego. Kazimierz zaczął rozdzierać kopertę, lecz, przypatrzwszy się Klemensowi, zapytał nieśmiało:

— Przepraszam, ale... mam wrażenie, jakgdyby pan był niekontent... Sądzę, że nie z mego powodu?...

— Niech się pan nie gniewa — odpowiedział Klemens — ale już drugi raz nie podjąłbym się podobnej misji. Pan hrabia (stryja Świrskiego nazywali hrabią oficjaliści

z całej gubernii)... pan hrabia niekiedy umie być przykrym...

— Obraził pana?... z mojej winy?...—zapytał zmieszany Kazimierz.

— Eh, obraził... nie!... Zresztą ja dla pana zdecydowałbym się nie na takie nieprzyjemności, ponieważ mam nadzieję, że... zrobimy wspólnie interes...

W kancelaryi Kazimierz zbliżył się do okna i rzekł:

— Owszem, spróbuję robić z panem interesy... Czy pozwoli pan?—dodał, wydobywając list.

— Proszę, niech pan czyta... Ja pójdę przywitać się z paniami.

Kazimierz rozłożył papier i czytał:

„W sprawie strażników ziemskich, która tak oburza pana reformatora, pozwoli pan, że tyle razy będę odwoływał się do opieki policji, ile razy ja sam uznam to za potrzebne, nie zaś moi pupile. Co się zaś tyczy parobków, pan reformator tak będzie z nimi postępował i tak ich wynagradzał, jak mu się podoba, jednak nie wcześniej, aż gdy zarząd majątków przejdzie na jego imię i odpowiedzialność. Do tego czasu ja będę praktykował mój system, oparty nie na hasłach reformatorskich, ale na znajomości ludzi i wieloletniem doświadczeniu.

A nareszcie, co do pieniędzy—oddam panu reformatorowi nie tylko żądanych parę

tysięcy rubli, ale całą należną mu gotówkę, pod jednym wszakże warunkiem. Oto pan reformator raczy zgłosić się do mnie z aktem, uznającym go, jako osobę pełnoletnią i zdolną do działań prawnych.

Muszę jednak przypomnieć panu reformatorowi, że do uzyskania podobnego aktu potrzebna jest nie tylko moja zgoda, której natychmiast udzielić jestem gotów, ale niezbędne też jest—ułagodzenie zatargu z władzami krajowemi, które od kilkunastu dni gorliwie poszukują pana reformatora, jako oskarżonego... o co?... nawet nie śmiem i nie chcę się domyślać.

Lekceważony stryj, Wincenty Świrski”.

Kazimierz raz i drugi przeczytał list, jakgdyby pod jego brutalną treścią ukrywała się tajemnica, której on chwilowo nie może odgadnąć. A kiedy po upływie kwadransa pan Klemens wszedł do kancelaryi, nie potrafił zapanować nad zdziwieniem. Zdawało mu się, że Świrski zmizerniał i oczy zapadły mu głęboko.

— Stryj zdrow jest?... — zapytał Kazimierz pana Klemensa.

— O i jaki!...

— A strażnicy siedzą jeszcze w Świrkach?...

— I kozacy... I ani myślą o wyjściu.

— A jaki interes miał pan do mnie?...

— rzekł Kazimierz po chwili.



WIEŚ

Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“ w Salonie T. Z. S. P.

W. GEORGI

— To jest ze wszystkiego najważniejsze...—odparł pan Klemens. Wyrzął do pokoju jadalnego, wyrzął do sieni, a potem przysunął Świrskiemu krzesło i sam usiadł na drugim.

— Wie pan, jaki stan kraju — rzekł Klemens półgłosem. — Czeladź miejska nie chce pracować, robotnicy mówią, że będą właścicielami fabryk, a po wsiach tułają się agitatorowie, którzy chcą wywołać bezrobocie na folwarkach i podmawiają chłopów, ażeby opanowali grunty dworskie... Pan rozumie, do czego to nas doprowadzi?..

— Myślę o tem od świąt... — szepnął Świrski.

— A także wiadomo panu—ciągnął Klemens—że ci, którzy przeciwdziałają podłej robocie nieznanym agitatorów, ci narażają się na śmierć... Sekretarz dyrekcji Hut Żelaznych... pan wie?..

— Wiem, dlaczego został zamordowany... Struchlałem, kiedym się dowiedział o tej bezecnej zbrodni...

— I pan na to nic?..

Świrski z krzesłem odwrócił się do niego.

— A cóż ja mogę poradzić?... — odparł zdumiony.

— Bardzo wiele...—mówił Klemens. — W naszej okolicy, zresztą w całym kraju, tworzy się związek samoobrony wszystkich ludzi uczciwych i Polaków... Pan, ze swoją odwagą, zdolnościami... pan mógłby oddać

wiele usługi... Pan mógłby stanąć tymczasem na czele organizacji naszego powiatu, a później i czegoś więcej... Zabity sekretarz wielkie w panu pokładał nadzieje, więc mnie zdaje się, że tylko pan mógłby go pomścić...

Świrski oparł łokieć na biurku i twarz zasłonił dłonią.

— Wiemy — ciągnął Klemens — że ma pan dzielnych kolegów... ma pan stronników po wsiach i w miastach... ma pan broń... Co się tyczy pieniędzy, te złożymy, dodamy panu ludzi pewnych, a i broń znaj-

dzie się... Byle jak najprędzej i najenergiczniej wziąć się do tępienia tej kanalii...

— Jakiej?...—spytał nagle Świrski.

— Rozumie się: bandytów i agitatorów... Mamy ślady, że poza jednymi i poza drugimi chowa się ktoś trzeci...

Świrski oparł się plecami o poręcz krzesła i obie dłonie położył na krawędzi stołu.

— Nie rozumiem mojej roli w tej sprawie—rzekł.

— To przecież bardzo łatwo... Na-przód—trzeba ich wysledzić... — odparł Klemens.

— Aha!...

— A potem wytępić...

— O!... Czyli, najprzód być szpiegiem, a następnie katem?...—zapytał Świrski.

Pan Klemens rzucił się na krzesło.

— Proszę pana, służba dla kraju bywa niekiedy ciężka...—rzekł.

— Wiem, ale do takiej — ja się nie nadaję... Niech pan tylko pomyśli: ja mam być albo...tem, albo... owem... I jeszcze mam do tego namawiać kolegów, którzy przez parę lat kształcili się w związku Rycerzy Wolności... Proszę pana, niech pan tylko pomyśli: ja... i Rycerze Wolności mamy być albo... tem, albo tamtem?... I nawet niewiadomo, która z tych dwojga rzeczy jest gorsza, ponieważ obie należą do najgorszych...

(DCN)

FRAGMENT.

Pytała się ludzka tęsknica,

kędy jej kres?

Czy w skałach niedosiężonych?

Czy w morzu łez?

Pytała się śmierci idącej

w całunem gzie,

czy może w niej? Ale śmierć

odrzekła: Nie.

KAZ. PRZERWA-TETMAJER.



W OGRODZIE TUILERYJSKIM

Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“ w Salonie T. Z. S. P.

MANUEL ROBBÉ

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI:

GROBOWIEC MAZZINI'EGO

WSPOMNIENIE Z CAMPOSANTO W GENUI.

Znacie *Camposanto* genueńskie — miejsce wiecznego spoczynku nieustraszonych żeglarzy, rzutkich przedsiębiorców, gorących patriotów, wogóle znanych i głośnych, zarówno jak i wcale nie wyróżniających się obywateli tego miasta pysznego! Kto był tam, nie mógł nie doznać uczucia wcale nie żałobnego, w każdym razie nie takiego, jakim nas przejmuje groza śmierci, tajemnica życia zagrobowego. Najskromniejszy wiejski cmentarz, ze swemi darnią pokrytymi mogiłami, z krzyżami zbutwiałymi i porośniętymi mchem, głębszym smutkiem przejąć nas może, więcej myśli stroskanych i beznadziejnych poruszyć, niż to olbrzymie, lśniąco niepokalaną bielą marmurów, genueńskie „miałostwo umarłych“.

Kto chce, może tu dowoli nauragać „mieszczanowskiemu“ smakowi grobowców, może pogardliwie wzruszać ramionami wobec tych płytkich pojęć o śmierci, o zagadce bytu, jakie znalazły swe uplastycznienie w niezliczonych pomnikach, w masie banalnie ziemskich, odtwarzających codzienną, krzycząco-powszednią rzeczywistość — grupach, pojedynczych postaciach, figurach symbolicznych. Komu miłe jest łatwo zdobyte poczucie własnej przewagi duchowej nad innymi, ten tu słabostkę swoją może należycie zaspokoić...

Wistocie, jest coś usposabiającego szyderczo w tem poufałem, że tak powiem, poklepywaniu śmierci po ramieniu, w tem wychodzeniu na jej spotkanie w szlafroku i pantoflach, na co dowodów aż nadto w pomysłach nagrobowych. Ale jest w tem także coś bardzo rozbijającego, jest jakieś wistocie mądre, chociaż przeciętnie praktyczne, ustalenie stosunku człowieka do zagadki życia

wiecznego, jest niemal radosna myśl o śmierci, jako o innym świecie, z którym żyjący pozostają w związku ścisłym, codziennym.

Nie odczuwa się tu przepaści pomiędzy „tym“ a „tamtym“ światem, nie trwoży poczucie nicestwa, nie nęka myśl o czemś nieodwołalnym, o czemś tak złem, czego najsilniejsza wiara i najstalsza miłość nie potrafią przezwyciężyć. Tutaj wszystko wygląda, jak dalszy ciąg życia doczesnego, wszystko głosi zmartwychpowstanie. Chodzisz z pogodą w duszy po dolnych i górnych galeryach wspaniałych katakumb, alejami marmurowych nagrobków — i nie odrywasz myśli od życia, rzadko staniesz przed czemś takim, co ci grozę lub majestat śmierci uprzytomni. Grobowce mówią ci — przeważnie — o życiu codziennym, o jego sprawach, uczuciach i troskach powszednich, rzadko coś, jakiego wyobrażenie, wcielenie myśli artystycznej, odśloni ci widok na to, co jest niedościgłe i nieprzeniknione, rzadko wzruszeniem uroczystym przejmie się duch twój. Czujesz tu brak rzeczy, które wywołują wzruszenia podobne, wciąż się oglądasz za nimi, wyczekujesz ich.

Jechałem tym razem na *Camposanto* genueńskie z myślą odszukania grobowca G. Mazzini'ego, z pragnieniem złożenia hołdu prochom wielkiego patrioty „trzeciej Italii“. Miałem poczucie, że grobowiec Mazzini'ego powinien stać gdzieś na wolnym przestworzu, wyodrębniony z tłumu tych, które w długich szeregach cisną się, tuż jeden obok drugiego, w równych galeryach katakumbowych. Wyszedłszy poza ich obręb, ujrzałem na wzgórzach, okalających cmentarz, porozrzucane tu i owdzie pomniki, kapliczki, mauzolea, w otocze-

niu rzadko rosnących cyprysów i pinii skarłatych, na tle laurów nieśmiertelnych, ostrej agawy, bluszczów, czepiających się głązów.

Wspinając się krętymi drożynami ku ostatnim tarasom wzgórza, ujrzałem nad sobą śnieżnie biały blok marmuru, jakby wtłoczony w skałę, a na nim wymowny, śpiżem pisany napis: *Giuseppe Mazzini*. Wkrótce stałem, oparty o kratę, broniącą wstępu do grobowca. Kształt jego prosty i niewyszukany, wyraża moc i spójnię.

Grota, utworzona z bloków marmuru, przytknięta do ściany skalnej, z boków i na górze jakby obrzucona złomami skały; górny blok marmuru wspierają dwie kolumny doryckie. Bluszcze i laury pną się po głązach, gdzieniegdzie, z szczeliny wygląda ostry liść agawy. Cyprysy i modrzewie sprawują straż nad grobowcem. W obrębie, obwiedzionym kratą, nagrobek matki Mazzini'ego, jedynej może duszy, która w serce wygnańca nie wsączyła ani kropli goryczy. W blizkim sąsiedztwie, na zewnątrz kraty, kilka pomników, znaczących mogiły niegłośnej chwały uczestników w walkach za wolność półwyspu, skromnych sług ojczyzny, których tyłu stworzył i natchnął niezłomnym umiłowaniem wspólnej sprawy gorący i nigdy nie-strudzony duch największego Włoch agitatora.

Słuszna, że spoczywają obok niego, że teraz jeszcze stanowią z nim całość, spojną ofiarą wspólną, jednym ożywioną duchem. Bezwiednie gną się kolana przed wyobrażeniem tej całości. Mało grobów na ziemi włoskiej, tak potężnie przemawiających w imię jedności ojczyzny: Dante'go w Rawennie, Garibaldi'ego na Caprerze, Mazzini'ego na *Camposanto* w Genui!



Giuseppe Mazzini.

Ta jedna mogiła wielkiego obywatela genueńskiego lepiej wyobraża sprawę odrodzenia ojczyzny, niż wszystkie posągi konne słynnych wojaków półwyspu, zdobiące jego miasta. Przychodzą na myśl słowa Garibaldi'ego o Mazzinim: „On jeden czuwał, gdyśmy wszyscy spali“. On jeden czuwał za wszystkich, on jeden żył, kiedy wszyscy wątpili o życiu. On pierwszy poruszył i tchnął życie w trupa Łazarza i popchnął go na drogę czynu. Zrozumieliśmy stają się słowa Lamennais'go, zwrócone do tryumwira Rzymu: „Prenez courage, Monsieur; les mères enfantent pour vous“... (Miej pan odwagę; matki rodzą dla pana). On dał impuls życiu, które później rodziło dla niego, dla jego idei *). Ale on najpierw swoje całkowicie jej poświęcił. On jej oddał wszystko swoje, wszystko, co nim było: młodość, bogactwo, talent, rozkosze życia, ambicje i żądze indywidualne oraz wszelkie dary losu. Niewielu może się poszczycić ofiarą tak zupełną, z góry uczynioną od najwcześniejszych lat, kiedy dusza najlepsza jeszcze ulega pokusom i roztargnieniom świata i nie wie dobrze, czego ma się trzymać. On wiedział doskonale, w jakim kierunku ma iść i czemu całego siebie poświęcić. Tę moc przekonania, to światło przewodnie zaczerpnął nie z czego innego, jeno z niewyczerpanego źródła miłości dla ziemi ojczystej, z odczucia jej niedoli i z ukochania bezgranicznego jej przyszłości.

Ta niepożyta władza kochania czegoś jedyngo, co jest większe i trwalsze od poszczególnych zjawisk życia, od pokoleń, idących kolejno po sobie, od ludzi najukochańszych, od rzeczy, obiecujących największą rozkosz; ta władza, wyrastająca ponad wszelkie inne, nie tylko krzepiła Mazziniego przez długi szereg lat wygnania i tułactwa po obcych ziemiach, nie tylko utwierdziła w mocnej wierze ducha jego, bez ustanku zniechęcanego losów przeciwnością, małodusznością swoich, trudnością zadania, złością i podstępem wrogów, odstępstwem i oszczerstwem wczorajszych przyjaciół,

*) Garibaldi, Cavour i t. p. twórcy jedności włoskiej wyszli z życia, rozbudzonego na półwyspie przez Mazzini'ego, i służyli jego idei. Nasz Klaczko, trzymając kiedyś stronę Cavour'a, potępiał Mazzini'ego; miarą niesprawiedliwości Klaczki może służyć to, że on Mierosławskiego zestawiał z Mazzinim. Dziś ten sam błąd powtarza bezkrytycznie St. Tarnowski. Mistrz i jego uczeń nie rozumieli, że niewiele miałyby Cavour do zrobienia, gdyby mu działalność Mazzini'ego nie przygotowała terenu.

ale ona ponadto przewyciężyła w nim wszelkie jego osobiste nędze—urazy i mizerne nienawiści, pretensje i chęć dochodzenia krzywd doznawanych, pragnienie pierwszeństwa i prawo do zemsty nad innymi, oczyściła słowem ducha jego z tych pierwiastków złych, które w płomieniu nawet największej ofiary i miłości spraw wielkich—zawsze szpetnie wyglądają.

Nie wiem, jak to się stało, ale znalazło się wielu historyków i polityków, włoskich i obcych, którzy przedstawiali Mazzini'ego, jako Lucypera ambicyj ogromnej i dumy nieokielznanej. Straszny kontrast pomiędzy oskarżeniem tego rodzaju a rzeczywistością! Tego, co było istotną cnotą indywidualności Mazzini'ego, nie chcieli uznać zani skądinąd ludzie, zauważyli zaś i uznali wyrzutki ludzkości—Metternich i sfora jego szpiegów austriackich. Ci bez zastrzeżeń, w przystępie szczerości, wyznawali, że Mazzini'emu „zupełnie obce są jakiegokolwiek widoki interesu prywatnego. On wzdycha tylko do wskrzeszenia Włoch; gotów jest, „żeby to zrobić, na wszelkie niebezpieczeństwo, gotów poświęcić życie własne“ (notatka, przesłana w 1832 r. do Wiednia przez jednego ze szpiegów austriackich). Tego rodzaju sędziowie wierzyli temu, co sam Mazzini mówił o sobie: „Ambicja podług mnie—mówił—wyraża niski i lichy indywidualizm, przeciwny wszelkim moim wierzeniom“ (*Epistolario*, I, 249).

Nie uwierzyli jednak ci, co mogli np. jego sławne, nie splamione żadną małością imię zestawiać z imieniem niefortunnego błagiera, jakim był Mierosławski. Oto przykład klasyczny tej niesprawiedliwości, jaką popełnia świat, przeciętny ogół względem tych, co sięgają wzrokiem poza korzyści natychmiastowe i nie poprzestają na ich obracowaniu.

Bezwzględny sąd krótkowzrocznych, którzy nie mogą podążyć za orlim wzrokiem, przesywającym mroki przyszłości. Niemal za warchoła i niepo czytelnego demonstranta wydawano nieraz Mazzini'ego, który był niezrównanym unifikatorem rozpierzchłego narodu, tym, co przeniknęło go poczuciem jedności, ideą tą przekształcił jego charakter chwiejny i łatwo zniechęcający się, co także nią przewyciężał siebie samego, gdy zachodziła tego potrzeba, łamał własne nieprzejednania i łagodził wstręty osobiste do zasad i porządków, których rozumem i sercem nie uznawał. Ileż faktów świadczy o tem!

Wezwanie do Piusa IX, by podniósł sztandar zjednoczenia Włoch, skupianie republikanów dokoła osoby Wiktora Emanuela, który stawał się wyobrażeniem tej idei dla całego narodu i t. p. Był Mazzini z tymi, którzy reprezentowali jedność narodu, kto ją narażał i niezupełnie przedstawiał, znajdował w nim nieubłaganego przeciwnika. Nikt podówczas nie był głębiej od niego przeniknięty



Mauzoleum Mazzini'ego w Genui.



Pomnik Mazzini'ego w Padwie.

ideą jedności ojczyzny, nikt nie nosił płomienniejszego jej wyobrażenia w duszy swojej. Stąd płynęły wszelkie jego starcia z przewodnikami narodu w walce o wolność, nieporozumienia z tymi, których sam wskazywał narodowi jako najlepszych jego obrońców, z Garibaldiem na przykład, stąd wogóle cały tragizm jego losów—zatargi z sumieniem, goręcze zawodów, lksyonowe cierpienie i męczeństwo duszy, żyjącej absolutem, poniewieranym przez życie, przez jego ociążałość i bezwład.

Cierpienie to, silniej niż co innego z istoty tego ducha, przemówić może do świadomości wędrowca polskiego. Zwraca jednak ono tu do niego nie tylko swoją martwą twarz, zwraca się także żywym obliczem, prawdą, zdobytą dla życia, a okupioną męką.

Z mogiły tej tchnie duch czysty, przemawia ten, co nigdy nie żywił nienawiści dla niej samej, nie pysznił się tem uczuciem bezpłodnym, nie pieścił go, jak lubieżnik okrutny, w samotni serca swego. Z mogiły Mazzini'ego rozlega się głos prawdy wiecznej, mówi on: Kto ducha swego nie oczyści z fermentów, z pierwiastków „chamstwa“, ten niczem innym nie będzie, jak tylko obłudnym głosicielem miłości, gdy mu wypadnie ją głosić. Kto płaszczem z nieistotnej miłości okryje swoje chamstwo istotne, ten gruntowniejsznie znieprawi duszę społeczności swojej, niż gdyby głosił wobec niej swoją jawną nienawiść. Kto miłością swoją zagrzewa tylko do waśni i rozterki w narodzie swoim, kto lubuje się widokiem zwady żywołów bratnich, podnieconych tego rodzaju miłością, ten—choćby najwymowniej zapowiadał wyzolenie—gotuje grób. Kto wreszcie swoje prawa indywidualne, znikome wobec prawa całości, stawia ponad wszystko, kto się wciąż sam jeno wyzwala, choćby to stale targało jego spójnię z narodem, ten unicestwia go i ustala jakąś jedność fikcyjną, która mgłą ścisła i spaja, nie zaś żywe ciało narodu.

— „La tomba di Mazzini“—ktoś wypowiedział głosem, drgającym uczuciem uwielbienia, tuż obok mnie, gdy stałem zapatrzony w ciemne wnętrza groty. Ocknąłem się i rzuciłem wzrokiem na strony, przy kracie stało dwóch wyrostków, w obryzanych wapnem kurtkach robotniczych.

— „La tomba di Mazzini“—znowu powtórzył jeden do drugiego, a oczy ich, błyszczące entuzjazmem, wciąż szukały moich, jakby chciały przez nie wlać do duszy obcego człowieka, którego podejrzewano o nieznamość rzeczy, to uwielbienie, jakim same promieniały.

Tak, jeszcze teraz we Włoszech matki rodzą dla Mazzini'ego...

Szeptala, cisnąc go do piersi, kiej dzieciątko, a głaszcząc i upieszczając, ale zając beknął jakby rozdierany i wyrwał się z rąk, skoczył do sieni w całe stado kur, że rozpierchły się ze srogim wrzaskiem, buchnął na ganek i przez Łapę, drzemiącego w cieniu, rymnął do sadu, pies pognał, jak oszalały, a za nimi Witek z krzykiem niemałym, z czego uczynił się taki harmider, jaże Hanka przyleciała z podwórza, zaś Józka śmiała się do rozpuku.

— Może go pies złapał, co? — pytała potem żdziebko niespokojnie.

— A juści, obaczył mu jeno podogonie, zając wpadł we zboże, jak kamień we wodę, tęgi wywijacz! Nie markoć się, Józka, przyniesę ci co drugiego.

I znosił co jeno mógł: to przepiórki, jakby złotem oprószone, to jeża, to oswojoną wiewiórkę, która strasznie do śmiechu skakała po izbie, to młode jaskółki, tak żałośnie piukające z gniazda, że stare z krzykiem wdzierały się do izby, aż mu Józka kazała oddać, to insze różności, nie spominając już, co jabłek i gruszek nanosił tyła, ile mogli zjeść kryjomo przed starszemi, ale już ją to nie bawiło, bo często patrzała, jakby nie miarkując, i odwracała się znużona i niechętna.

— Nie chcę, przynieś co nowego! — matyasła, odwracając oczy i nawet nie patrząc na bocka, któren się grajdał po izbie, kuł po wszystkich garnkach i na darmo przyczajał się pod drzwiami na Łapę, dopiero, kiej pewnego razu przyniósł jej żywą żołą, rozchmurzyła się nieco.

— Jezu kochany, a to śliczności, kieby malowanie!

— A pilnuj się, bych cię w nos nie dziobnęła, zła, kiej pies.

— Cie, nawet się nie rwie uciekać, oswojona czy co?

— Skrzydła ma i kulasy spętane, a ślepie zalałem jej smołą.

Bawili się ptakiem czas jakiś, ale żoła wciąż była nieruchoma i smutna, nie chciała jeść i zdechła, ku wielkiemu strapieniu całego domu.

I tak im schodziły dnie.

A na świecie ciągiem prażyło, zaś czem bliżej ku żniwom, tem jeszczek barzej wzma-gała się spiekota, że już w dzień nie sposób się było pokazać w polu, a noce też nie przynosiły ochłody, szły bowiem duszne i tak nagrzone, co nawet w sadach nie można było wyspać z gorąca, prosto kłęska waliła się na wieś, trawy już tak wypaliło, że bydło głodne wracało z paśników i ryczało w oborach, ziemniaki wędły, zawiązały się, kieby orzeszki, i tak ostały, przypalone owsy ledwie odrosły od ziemi, jęczmiona pożółkły, zaś żyta schły przed czasem,

bielejąc płonnymi kłosami. Trapili się tem niemało, ze smutną nadzieją spozierając w kaźden zachód, czy nie idzie na odmianę, ale niebo wciąż było bez chmur i całe jakby w szklanej, białawej poźodze, a słońce zachodziło czyste i by najlżejszym obloczkiem nie przyćmione.

Niejeden już skamlał serdecznie przed obrazami do Przemienienia Pańskiego, nic jednak nie pomagało, i spiekota nie ustawała, że pola mglały coraz barzej, uwiędły, a nie-dojrzały owoc opadał z drzew, studnie wysychały, a nawet w stawie ubyto tyle wody, co tartak nie mógł już robić, i młyn również stał zawarty na głucho, więc naród, przywiedziony do rozpacz, złożył się na wotywę z wystawieniem, na którą zebrała się cała wieś.

A modlili się tak gorąco i ze wszystkiego serca, co i kamieńby się ulitował.

I snać Pan Jezus pofolgował swemu miłosierdziu, chociaż bowiem nazajutrz zrobiło się tak gorąco, znojnje, duszno i parno, jaże ptactwo padało zemglone, krowy żałośnie ryczały po paśnikach, konie nie chciały wychodzić na świat, a ludzie, przemęczeni do ostatka, bez sił, tułali się po spiekłych sadach, bojąc się wyjrzeć, choćby do ogrodu, ale jakoś w samo przypołudnie, gdy wszystko zdało się już puszczać ostatnią parę w tym białym, rozmigotanym wrzasku, przyćmiło się nagle słońce i zmętniało, kieby weń kto rzucił przygarścią popiołu, a pokrótce zahuczało kajś wysoko, jakoby stado ptactwa zabiło wielgachnemi skrzydłami, a napęczniałe sinością chmury nadciągały ze wszystkich stron, opuszczając się coraz niżej i groźniej.

Strach wionął, wszystko przycichło i stanęło w przytającym dygocie.

Zahurkotały dalekie grzmoty, zerwał się krótki wiatr, po drogach wzniosły się skłębione tumany, słońce rozlało się kieby żółtko w piasku, ściemniało raptem, i na niebie zaroily się zgraje błyskawic, jakby kto zamigotał ognistymi postronkami, i pierwszy piorun trzasnął kajś tak blisko, jaże ludzie powybiegali przed chałupy.

Naraz skotłowało się wszystko do dna, słońce zgasto, uczynił się dziki mął, i rozszalała się taka zawierucha, że w skotłunionych

mrokach lały się jeno strugi oślepiających jasności, były pioruny, grzmoty przewalały się po niebie, szumiała ulewa, i jęczały wichry i drzewa.

Pioruny już były jeden za drugim, jaże oczy ślepiło, i spadała taka ulewa, że światła nie można było dojrzeć, zaś stronami poszły grady.

Burza trwała może z godzinę, a i zboża się pokładły, i drogami pociekły całe rzeki spienionej wody, a co przestało na chwilę i zaczynało się wyjaśniać, to znowu grmiało, jakby tysiące wozów pędziło po zmarzłej grudzi, i nowy deszcz lał, jak z cebra.

Z trwogą wyzierano na świat, tu i owdzie już pozapalano lampki, śpiewając: pod Twoją obronę, gdzie znów powynoszono na przyżby obrazy, la obrony przed nieszczęściem, ale, dzięki Bogu, burza przechodziła, nie wyrządziwszy większych szkód, dopiero kiej się już prawie do cna uspokoiło, wicher ustał, a padał jeno deszcz coraz drobniejszy, z jakiejś ostatniej chmury, zwieszającej się nad wsią, trzasnął piorun w stodołę wójtową.

Buchnęły płomienie a dymy, i w mig cała stodoła stanęła w ogniu, na wsi zerwał się strachliwy wrzask, i kto jeno mógł, leciał do pożaru, ale ani mowy było o ratowaniu. paliła się od góry do dołu, kieby ta kupa zwalonych szczap, to Antek z Mateuszem i drugie bronili jeno zawzięcie kozłowej chałupy i inszych budynków; szczęściem co nie brakowało wody i błota na drodze, bo już poniektóre dachy zaczynały się kurzyć, i gęsto leciały skry na najbliższe obejścia.

Wójtą doma nie było, pojechał był jeszcze rano do gminy, zaś wójtowa srodze lamentowała, biegając dokoła, kiej ta rozgdakana kokosz, więc kieby już minęło niebezpieczeństwo i zaczynali się rozchodzić, przysunęła się do niej Kozłowa, i ujawszy się pod boki, zakrzyczała urągłiwie:

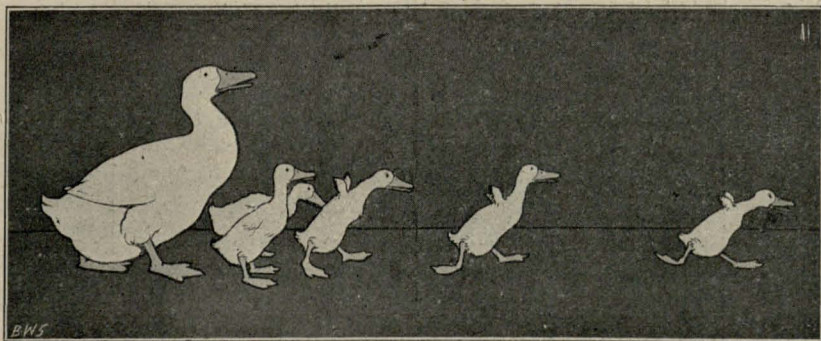
— Widzisz, dał ci Pan Jezus radę, pani wójtowa, dał! Za moją krzywdę!

I byłoby doszło do bitki, gdyż wójtowa skoczyła do niej z pazurami, ledwie Antek zdążył je rozdzielić i tak przytem skrzyczał Kozłową, że, kiej pies kopnięty, wróciła pod swoją chałupę, warcząc jeno a doszczekując:

— Dmij się, pani wójtowo, dmij, odbiję ja ci swoje z presentem.

Ale nikt jej nie słuchał, stodoła się dopaliła, przywalili błotem dymiące się zgliszczka i porozchodzili się do domów, ostała jeno wójtowa, białoląc przed Antkiem, który wysłuchał cierpliwie, co mógł, na resztę machnął ręką i poszedł.

Burza się już przetoczyła na bory i lasy, pokazało się słońce, po modrem niebie przeciągały stada białych chmur, zaśpiewały ptaki, powietrze było rzeźwe i chłodnawe, ludzie zaś wychodzili spuszczać wody i równać wyrwy. (DCN)



ZE ZDOBYCZĄ

Fryz z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“

C. ALDIN

Ktokolwiek gdziekolwiek jakiegokolwiek zarzuty mógłby wypowiedzieć lub wydrukować przeciw tegorocznym wycieczkom kupieckim w różne strony i metropolie Europy, fakt pozostaje faktem, że wojaże te nie pozostaną bez ważniejszych następstw dla przyszłości. Oczywiście, że w gorączce aktualności nie należy przesadzać i natychmiastowych bezpośrednich wyników spodziewać się; w każdym razie bierność i apatia sfer kupieckich Królestwa i Galicji została złamana, temperament przedsiębiorczy się rozbudził, zobaczono nowe olbrzymie warsztaty pracy i rynki wytwórczości, w rezultacie znika przedewszystkiem fałszywy i niewolniczy przesąd o wszechpotędze niemieckiego przemysłu i handlu, o nieuniknionem poddaństwie polskiego odbiorcy berlińskiego komisantowi i fabrykantowi.

Wycieczka londyńska odkryła przed omal 50 reprezentantami polskiego handlu i przemysłu Królestwa cały potężny i promienny świat wytworów ludzkiej genialności i ludzkiej wszechpotęgi, z którego dwa pierwsze cywilizacyjnie narody ludzkości rozmyślnie i stanowczo wykluczyły element germański. Wystawa francusko-brytyjska udowodniła naszym 60 przedsiębiorcom, że te dwa narody pospołu dają wszystko, do czego doszła ludzkość, w najlepszej jakości i w największej ilości. Tradycyjalna *hospitality* i gorliwa ochoczość w chęciach nawiązania koniunktur handlowych z nami wskazały naszym kupcom, o ile miłsze i kulturalniejsze stosunki czekają ich, jeżeli, wyzbywszy się z pod stuletniej hydry teutońskiej, która wysysała nas aż do stanu dzisiejszego paratyżmu, zdecydujemy się wejść w trudniejsze, zawiększe, dalsze, ale o ileż szlachetniejsze stosunki z Emporium Wielko-brytyjskiem. Niestety, z góry to powiedzieć trzeba, jesteśmy nadal, jak mała rybka, uwikłana w jednym ze splotów ramion germańskiej ośmiornicy. Na komorach pruskich nic nie wiedzą o jakimkolwiek bojkocie towarów pruskich. Śmieją się w głos cyniczne celniki, nawet śmiało mówią w twarz, że takiego nawału towarów pruskich, jak w ostatnich latach, nigdy nie było! nigdy—nie—było!

Przejdźmyż nad tem narazie do porządku dziennego i starajmy się dać możliwie najwierniej wrażenie i rezultat wycieczki londyńskiej. Zorganizowana była ona przedewszystkiem wzorowo, wszystko składnie, punktualnie, ściśle i correct. Jakby nie polskie ręce to urządziły, tyle było ładu i składu. I pomyśleć sobie, że człowiek, który to Syzyfowe dzieło pchnął na rzeczywiste koleje, nie ma jeszcze trzydziestki i, co uciążliwsza, nie znał języka Szekspira i Miliona! Pan Muśnicki należy do ludzi przyszłości. Jeżeli się



Zygmunt Muśnicki, przewodniczący nie zrazi naszą, w wycieczce polskiej do Londynu. skroś zatrutą atmosferą w Kró-

lestwie, jeżeli go przeciwności i złośliwości drobnoustrojów ludzkich, zawołanych malkontentów, wątrobiarzy nie zniechęca, to będzie jednym z ludzi, którzy walne położą zasługi w zreorganizowaniu, a raczej w zorganizowaniu ekonomicznego życia w Królestwie. Tyle tylko powiem, że kilku potentatów londyńskiej „Chambre of Commerce“ formalnie zakochało się w nim i już

po odjeździe p. Muśnickiego i całej wycieczki polskiej nie mogli się dość nachwalić jego inicjatywności, energii, zmysłu orientacyjnego i tych właśnie darów, które w śpiącej, zadżumionej Polsce są unikatami i perłami na śmietniku kiepskich wad i mizernych przymiotów. Już to wogóle w skład wycieczki londyńskiej wchodziło jeszcze kilkunastu młodych przedsiębiorców, wysoce inteligentnych, bystrych, ochoczych, z wielkimi planami w głowach, energetyków, po których można spodziewać się, że życia nie prześpią, ale przykładem swego *strenuous life* podziałają na bierne, mętne, ospałe otoczenie.

Sześć dni w Londynie przeszło nam mniej więcej jak sześć godzin. W tym oceanie domów, bezmiarze ulic, placów, skwerów, mostów, wież mie-



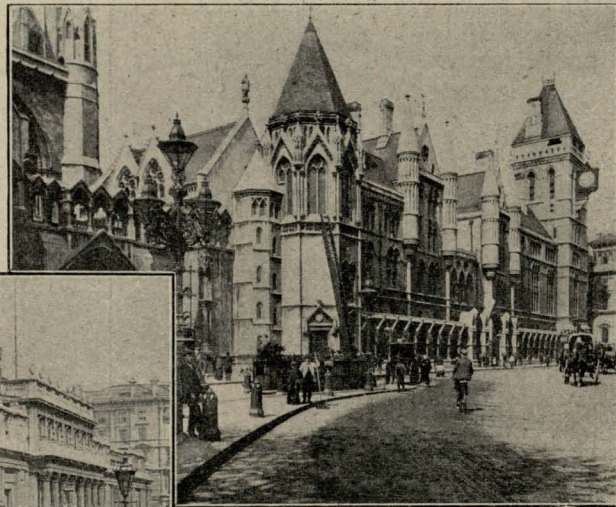
Londyn. Bank angielski.

liśmy doskonałych sterników i pilotów i zwiędzaliśmy, co zwiedzać tylko w wielkiej grupie trzeba. Tower, Parlament, Muzeum kolonialne, Guildhall, Mansion-House, Giełdę, British Muzeum, to wszystko oglądaliśmy gromadnie, wcale dobrze się prezentując, owszem nawet mało różniąc się od obywateli Zjednoczonych Królestw, ozdobieni w kłapkach pięknymi oznakami herbowymi: Syreną. Podnoszę naszą poprawność zewnętrzną z całą stanowczością z tego powodu, że Anglicy dosłownie, „jak cię widzą, tak cię piszą“, z ludźmi źle skrojonymi mówią protekcyjnie i niechętnie, Polaków zaś wyobrażali sobie jako po polsku mówiących Rosyan z Warszawy.

Fałszywe to wyobrażenie trzeba było prostować na każdym kroku, przy każdej mowie; naturalną reakcją prostowanie to musiało nawet przybrać ton całkiem stanowczy i w rezultacie doprowadzić do tego, że prasa londyńska, która w pierwszych dwóch dniach wycieczkę naszą przyjęła wcale głośno i serdecznie, następnie dość namacalnie i widocznie chłodła. Przez pierwsze dwa dni wydrukowano o nas 150 artykułów, przez następne cztery *ani jednego*.

Wielce szanowny pan Morgan, przyjaciel p. Sergiusza Julianowicza Wittego, a nasz najmłodszy protektor podczas całej wycieczki londyńskiej, szczególnie podczas wzruszająco pięknej, filopolskiej mowy pani Voynich, znanej powieściopisarki angielskiej, okazywał niedwuznacznie swoje najwyższe niezadowolenie. Rzecz się więc tak miała, że poprostu przed wycieczką polską stanął dylemat: albo zdecydować się na charakter, styl i godność kupców *rosyjskich, mówiących po polsku* z Warszawy i wtedy zbierać jeno same lau-

ry, same wiwaty i narazić się może na różne wizyty, albo zostać skromną garstką polskich kupców, zrzekających się wszelkich oficjalizmów, a przybyłych tylko w celach handlowości. Wybraliśmy to drugie i za to w zamian otrzymaliśmy nagłe urwanie się wszelkich komunikatów i kadziel w całej codziennej prasie londyńskiej, która albo jest zawiśłą dosłownie od sfer przemysłowo-handlowych, albo też o Polakach nie ma najmniejszej idei,



Pałac sprawiedliwości.

najwątleszego wyobrażenia i uważa ich za coś znacznie jeszcze mniejszego od Serbii, Bułgarii, Czarnogóry t. j. takich Słowian, którzy przecież zdobyli się choć... na własne organizmy samorządne.

Ale właśnie tutaj przychodzi mi podzielić się z ogółem wiadomością szczęśliwą i pierwszą pozytywną. Świat

handlowo-przemysłowy angielski chce się dowiedzieć, co to jest Polska dzisiejsza i jaka jej *sila gospodarcza* i jaka kulturalna. I w tym celu polecono mi, abym opublikował, że:

W bieżącym sezonie zimowym będzie mógł Polak, władający beznagannie angielskim językiem, wygłosić w najpoważniejszej sali londyńskiej Muzeum kolonialnego t. j. w Imperyal-Instytucie (mieszczącej w sobie do 2 tysięcy słuchaczy) z kolei 3 do 5-ciu odczytów. Nad odczytami tymi obejmie protektorat londyńska Izba handlowa; słuchacze będą omal wyłącznie z sfer handlowo-przemysłowych.

Od siebie dodaję tylko tyle, że, choćbyśmy tylko to jedno byli zyskali, t. j. protektorat Izby handlowej nad takimi prelekcjami w handlowej Sorbonie londyńskiej, to już zyskaliśmy niesłychanie wiele. Rozchodzi się teraz o to, aby jechał z odczytami mąż zaufania całego polskiego świata handlowego, człowiek bezwzględnie fachowy, żaden romantyk, żaden polityk, żaden fantasta, no i przedewszystkiem żaden warchoł, gdyż dla takich wyłącznym terenem jest Hyde-Park. Piszę te słowa z prawdziwym drżeniem, by przypadkiem nie wzięto tej sprawy za lekko. Adresy gentlemanów, którzy się tem zajmują, składam w redakcji *Tygodnika Ilustrowanego*. Dodaję jeszcze, że domagają się *ekonomisty*, nie zaś *literata*, i że takie pięć prelekcji spokojnych, cyfrowych, realnych, wygłoszonych np. przez któregoś z parlamentarzystów naszych, mogą mieć epokowe znaczenie; miesiące listopad i grudzień podobno najlepsze.

Jest jeszcze drugi szczegół, również politycznej natury, który sprawił, że wszechmożna prasa



Przedstawiciele kupiectwa polskiego przed giełdą londyńską.



Przedstawiciele kupiectwa przy zwiedzaniu największego browaru na świecie.

londyńska w uczuciach do polskiej wycieczki z 120° ciepła według Fahrenheita spadła na dwa poniżej zera. Przyjechaliśmy właśnie na dzień przesilania się ostatecznego kryzysu anglo-niemieckiego. Przedewszystkiem na kilka dni po niestychaniu ważnym artykule pisma *Economist*, z którego cała prasa i cała opinia angielska dowiedziały się raz jeszcze, że Niemcy ostatecznie są najlepszym odbiorcą Anglii na świecie, że z połączonych Królestw wywozi Germania za 1,8 miliarda marek rocznie, t. j. o pół miliarda więcej, niż sprzedaje Anglii i koloniom. Że więc utrata takiego kundmana to rzecz ryzykowna. Przyjechaliśmy więc, biedni Polaczkowie, do Londynu, już po znanej mowie Greya, po znanych komplementach ministra handlu Churchilla, po świeżym powrocie z Niemiec Lloyd-George'a i po świeżym mianowaniu ambasadorem w Berlinie pana Goschen (wnuka księgarza lipskiego).

Pax, pax, pax za każdą cenę—to jest hasło liberalnego rządu. Jak wszystkie liberaly w Europie, tak liberali angielscy albo o naszej egzystencji nawet nie wiedzą, jako o robaczkach, albo nas nienawidzą. Na sympatyę, jak wszędzie w Europie, możemy liczyć leciuchno znowu tylko w stronniactwach całkiem antypatycznych, t. j. w konserwatystach i w socyalistach. Ci to właśnie, jak lord Cromer lub jak z drugiej strony Hyndman czy Blackford, judzili opinię na Niemców i w tych chyba, może, niewiadomo, kto wie, akcja nasza bojkotowa mogła znaleźć sympatyczne echo. Ci właśnie teraz ucichli. Pax, pax, pax. Przerazano się wojny anglo-niemieckiej z obu stron równocześnie, rzecz można, panicznie. Niemców Anglia dzisiejsza nienawidzi fanatycznie. Cały świat, można to dziś powiedzieć, odetchnąłby pełną piersią, gdyby mu jednego dnia rozniósł kabel wiadomość, że Hamburg zbombardowany... że...

Tymczasem jednak Anglia boi się... Anglia w Niemcach ma najbogatszego odbiorcę. Anglia przed rokiem 1913 czuje się jeszcze nie przygotowaną, Anglia woli odłożyć to straszliwe widowisko, Anglia trzyma się kurczowo liberalów. Lordowie Admiralicji czekają.

Oprócz odczytów w Imperial-Instytucie następujące jeszcze pozytywne rezultaty zyskała wycieczka polska z pobytu w Londynie. Reprezentanci londyńskiej Izby handlowej, pp. Morgan, Town, Murrey i Frazer, zobowiązali się do zainicjowania i założenia w londyńskiej Chamber of Commerce w łonie rosyjskiej sekcji: specjalnej

subsekcji dla Królestwa Polskiego, o ile w warszawskim Stowarzyszeniu handlowym założy się poważna sekcja dla handlu z Anglią, która zarazem przyjmie na siebie rolę pośrednictwa między kupiectwem londyńskim a polskim i będzie informowała Izbę handlową londyńską o pewności i solidarności firm polskich w poszczególnych wypadkach. Następnie: Stowarzyszenie kupców polskich zaliczone zostało przez londyńską Izbę handlową, jako jednostka handlowa w charakterze członka-korespondenta, i nawzajem Izba handlowa londyńska ma być przez warszawskie Stowarzyszenie handlowe mianowana członkiem-korespondentem.

Adwokat Frazer, członek Izby, osobistość bardzo wpływowa, a przedziwnie sympatyczny Polaków przyjaciel, radzi też stanowczo, aby Stowarzyszenie kupców warszawskich zapisało się jak najrychlej do międzynarodowego Stowarzyszenia handlowego w Liège, aby już mogło brać udział w bliskim kongresie handlowym w Londynie, co może bardzo korzystnie wpłynąć na solidne ugruntowanie się stosunków handlowych polsko-angielskich.



R. S. Frazer, członek izby handlowej londyńskiej, przyjaciel Polaków.

Utworzenie jakowegoś banku brytańskiego, któryby finansował transakcje handlowe bez prowizji, pobieranych, jak dotychczas, przez pośredników niemieckich, należy uważać za kwestję dalekiej przyszłości. Stanowczo jednakże chodzi o usunięcie pośrednictwa niemieckiego w stosunkach handlowych z Anglią i o usunięcie przedewszystkiem towaru niemieckiego, sprzedawanego w Królestwie, jako angielski, a będącego wistocie *made in Germany*.

O ulgach kredytowych przy zapoczątkowanych dopiero stosunkach nie może być mowy poza najdalej dwoma miesiącami; oczywiście czasem przy stosunkach już utrwalonych i na kredyt li-

czyć można. Ostatnio jeszcze: kupcy londyńscy, nie zniechęcając się wysokimi taryfami rosyjskimi, tak samo przecież obowiązującymi towar teutoński, decydują się celem poznania terenu handlowego w Królestwie wysłać tu w tej ziemie licznych komisantów, a panowie z wydziału Izby handlowej londyńskiej obiecują solennie rewizytę w Warszawie.

Oto w zarysach rezultaty ogólniejsze.

Wracając do wycieczki londyńskiej, streszczam rezultaty ogólne w tej sentencji, że: londyńska Izba handlowa jest gotowa uważać Warszawę za nowy klucz do Rosji, za punkt węzłowy w handlowej swej drodze i jako z takim głównie nawiązać liczne, trwałe i obu stronom korzystne stosunki. O kwestyach uczuciowych, jakichkolwiek sympatyach specjalnych niema zgola i mowy, gdyż nas ani znają, a z tego, co znają, na specjalne afekty (prócz litości) nie zasłużyliśmy.

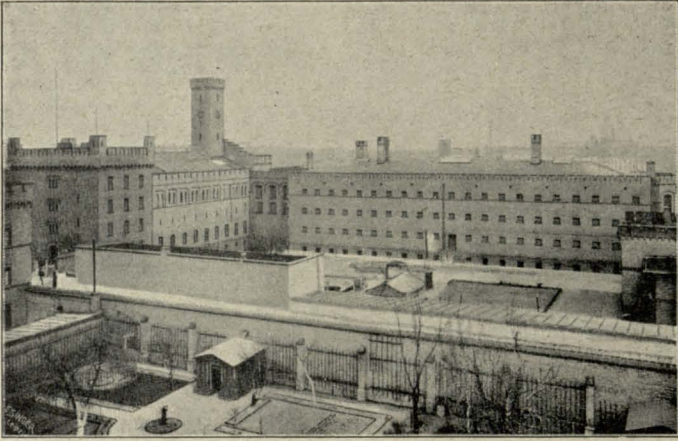
Jakiegoś stałego wysuwania na wierzch idei antygermańskiej w stosunkach, robienia zgzielku prasowego z tego, *przechwalania się* prosto nie życzą sobie, gdyż mogłoby to komplikować, mętnić stosunki i nawet narazić im miliardową klientelę niemiecką, wobec której my (posiadający nawet tylu przepotężnych mistyków!) jesteśmy w najlepszym razie odbiorcą lilipucim.

Kupcy polscy wyjechali zadowoleni, z kufkami pełnymi cenników, prób i książek. Zwiedzili największe papiernie i browary, moc fabryk, sklepów, kantorów, pawilonów wystawowych. Poznali kuchnię angielską z jej dobrej i złej strony na doskonałych luncheonach, dinnerach w Old-Wellcome-Clubie, w Earls-Cout-Garden w Canon-Street-Hotelu, w gościnnym homie niezapomnianego naszego przyjaciela, p. Frazera, i w Barkin-Side-Ilford u pastora Lach-Szyrmy, osiemdziesięcioletniego, ale rzeźkiego starca, sekretarza skromniutkiego klubu: Przyjaciół Polaków.

Na wielkim zebraniu w Izbie, w którym przeszło 160 kupców londyńskich wzięło udział, przekonali się, że Anglicy są nowemu terenowi handlowemu chętni, gotowi, a poprawni w każdym calu. Emancypacja Królestwa z pod rządów komiwojażerskiej hołoty berlińskiej, bezczelnych i już gęsto po świecie na pysk wyrzucanych „lausubów“ może się więc udać, o ile sprężyści panowie ze Stowarzyszenia kupców warszawskich nie ustają w pół drogi *zwykłą polską manierą*, ale, niszcząc przeszkody, pójdą dalej. Język angielski staje się atoli koniecznością.



Z HISTORII WIĘZIEŃ.



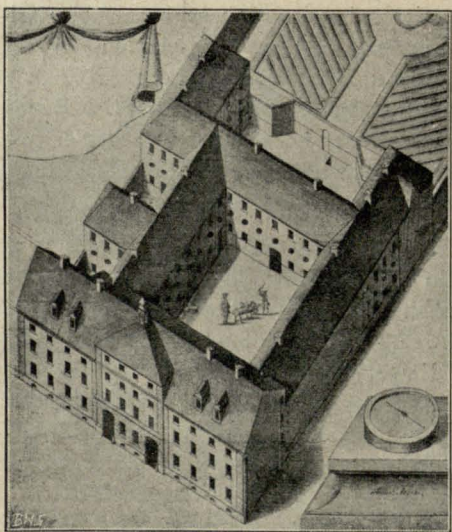
Więzienie celkowe w Moabie.

W porównaniu z niedawną przeszłością współczesne systemy karne uczyniły znaczny krok naprzód, i, aczkolwiek pozostały jeszcze niektóre zaletki odstręczającego i bezcelowego okrucieństwa, naogół jednak barbarzyńskie męczenie z dawnych czasów zaginęło bezpowrotnie.

Kulturalna ludzkość dzisiejsza już nie mogłaby się pogodzić nawet z myślą stosowania tortur i mąk.

Każdy przypadkowy, czy też stały mieszkaniec więzienia z początków ubiegłego choćby stulecia, gdyby został zamknięty we współczesnej celi więziennej ostatniej konstrukcji z parowem ogrzewaniem, elektrycznością, z prawdziwym łóżkiem i bez cielesnych kar, napewno nie wierzyłby własnemu wzrokowi. Złagodniały surowe dawne obyczaje, i odbiło się to na wszystkim, lecz wewnętrzna treść karania, jego celowość pozostała bez zmiany. I aczkolwiek dotąd ciągną się teoretyczne spory, czy karze się dlatego, że „ktoś popełnił błąd“, czy też po to, by „nie popełniał ich w przyszłości“, w praktyce wartość zachowuje tylko pierwsza formuła. Gdybyśmy chcieli osiągać pożytek z drugiej, t. j. dążyć do poprawy więźnia, by „nie popełniał błędów w przyszłości“, należałoby całkowicie przerobić system współczesnego karania, gdyż doprowadza on do diametralnie przeciwnych rezultatów, a nigdy do tych, do jakich powinien zmierzać.

Najłatwiej i najwygodniej rozprawiać teoretycznie o poprawczej roli karania przez pozbawienie wolności, lecz w praktyce takie wypadki są pojedyncze, a i to niewiadomo, czy poskutkowało umoralniająco więzienie, czy też głębsze wewnętrzne motywy psychologicznej treści w duszy



Więzienie w Schwabach.

przestępcy. W normalnych warunkach więzienie nie może poprawić, a nawet dziś już mało wykazuje dążności ku temu.

Czem były więzienia dawniej, dobrze wiemy. Zachowały się przykłady. Więzienie było „ciemnicą“ i miejscem zadawania strasznych mąk i tortur. W potwornych jednak systemach karnych przeszłości więzienie odgrywało podrzędną, niewielką rolę. Aż nadto obfity i różnorodny był zbiór innych środków, poczynając od stracenia i włączając kary cielesne wszelkich rodzajów i odcieni. Po cóż było trzymać przestępców w więzieniu i żywić na państwowy koszt, skoro

istniało tyle prostych, wygodnych i tanich sposobów, aby wyprawić ich tam, skąd już nie wrócą? W tych zaś rzadkich wypadkach, kiedy stosowano więzienie, oczywiście starano się mu nadać odpowiedni charakter.

W ciemnych i wilgotnych podziemiach, leżąc na zgniłej słomie, przykuci łańcuchami do muru, pozbawieni światła i powietrza, żyjąc chlebem i wodą, więźniowie znosili stałą fizyczną mękę,



Więzienie św. Inkwizycji.

gorszą od śmierci. Zamykając w więzieniu, władze państwowe nie myślały nigdy o „poprawie“ przestępcy: a cóż im było do tego? Kierowały się albo wyrachowaniami bezpieczeństwa, albo też zachowywały przyszłą ofiarę dla kato-

rowskiej rozprawy. Przytem w stosunku do więźnia starano się o dwie rzeczy: aby żył jak najgorzej i aby nie mógł uciec. Penitencyarna idea po raz pierwszy powstała w Ameryce na gruncie religijnego mistycyzmu i otrzymała odrazu ten potworny i spaczony wyraz, jaki nosi miano „systemu cel“. Tu dopiero próbowano wyzyskać pozbawienie wolności w celu poprawy, pojmovanej przytem, jako zupełne wewnętrzne przeistoczenie się i odrodzenie. Zdawało się, że osiągać je będzie można przez samozagłębienie i rozmyślanie przy absolutnem odcięciu się od całego świata. Ten specyficzny wązki pogląd na zadania więzienia w połączeniu z całkowitą ignoracją potrzeb ludzkiego ducha doprowadził do potwornych rezultatów!

Pierwsze więzienia, zbudowane i utrzymywane według tego systemu, okazały się przybytkami takich wyrafinowanych mąk duchowych, iż zblakły okrucieństwa dawnych czasów. Dickens podczas swojej amerykańskiej podróży widział te więzienia i, dając ujście szlachetnemu swojemu oburzeniu, w silnych i jaskrawych barwach opisał je w kilku utworach.

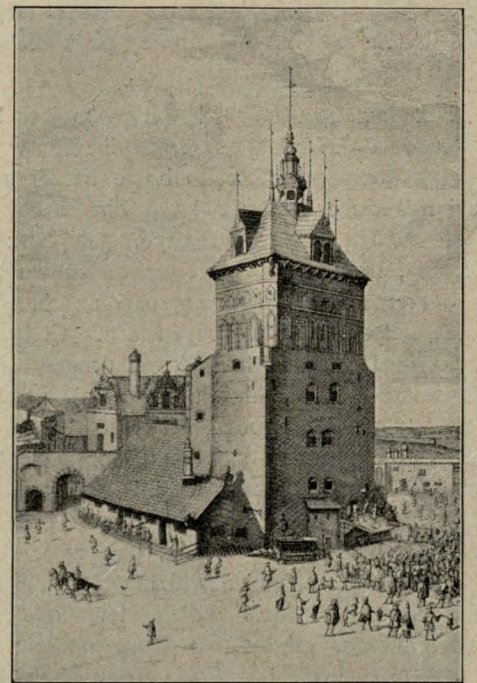
I oto ta gwałcąca naturę ludzką idea prze-

niknęła do Europy i z różnemi zmianami została wprowadzona jako osnowa do całego penitencyarnego systemu. Zamykanie w pojedynkę uznano za środek bardzo odpowiadający swemu przeznaczeniu. Wydawało się, że przez nie będzie osiągnięta możność odradzania przestępcy i wprowadzenia go na drogę cnoty. Przytem Europa przyjęła amerykańską ideę z niektórymi omówieniami i złagodzeniami, mającemi na celu zapobiegnięcie tym niepożądanym skutkom, do jakich doprowadził penitencyarny system w całej swej rozciągłości. Wkrótce zjawiała się myśli skombinowania zamykania w pojedynkę z zamykaniem ogólnem, jako złagodzenia kary. I oto stopniowo wytworzył się współczesny typ więzienia z obowiązkowym rozłączaniem na noc do pojedynczych cel, z kazarmowym ustrojem i systemem nagród i kar. Lecz w osnowie tkwi ciągle ta sama myśl, oparta na przestarzałym już gruncie mistyczno-religijnym.

A tymczasem myśl tato oczywisty i nie ulegający kwestyi fałsz. Jeżeli odrzucić zwyczaj tradycyjnego sposobu myślenia, to nie można wprost nie postawić sobie dziwnego pytania: jak można oczekiwać od więzienia poprawy jednostek, skoro więzienie samo w sobie musi wywierać tylko rujnujący wpływ na ludzką duszę?

Nie warto i mówić, iż dawna teoria „wewnętrzne odradzanie się“ przestępcy, znajdującego się w więzieniu, teoria, przedstawiająca sobie grzesznika, oddającego się w samotności pełnym skruchy rozmyślaniami, zastanawiającego się nad potwornością własnego upadku, modlącego się o pomoc Boga i dochodzącego w ten sposób do duchowej czystości, ta słodko-obłudna teoria przeżyła się już zupełnie.

Inaczej dziś nauka patrzy na przestępcę,



Wieża i więzienie w Gdańsku.

stwo i przestępcę, a więc należy przypuszczać, iż w niedalekiej przeszłości cały współczesny system karania ulegnie radykalnej zmianie.

REMY.

ZŁOTE LISTKI.

Tyś jest krwią mego serca, światłem moich oczu!
Bez ciebie świat się cały powleka żałobą,
Bez ciebie gwiazdy gasną w błękitnem przezroczu...
O, nie odchodź ode mnie, albo weź mnie z sobą!

W. GOMULICKI: „Nie odchodź“.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI.

I.

Gdy po klęsce ostatniego powstania społeczeństwo nasze, zagoiwszy świeże rany, poczuło w sobie żądzę odrodzenia, najtęższe umysły z przed czterdziestu lat uświadomiły sobie tę prawdę, że musimy żyć *inaczej*. Nielitościwa konieczność kazała zerwać z marzeniami romantyzmu, nałogami wielkiej polityki, jednostronnym kultem tradycji—a natomiast rozpocząć wewnętrzną pracę odnowy sił, powetować klęski ekonomiczne, wzmocnić ducha narodu odżywczym pokarmem ogólnoludzkiej cywilizacji. Z prądem tak zwanego pozytywizmu popłynęła szeroka fala nauki niepodległej, łamiącej okowy wszelkich autorytetów, opierającej swoje szerokie syntezy na nowych zdobyczach filozofii przyrody.

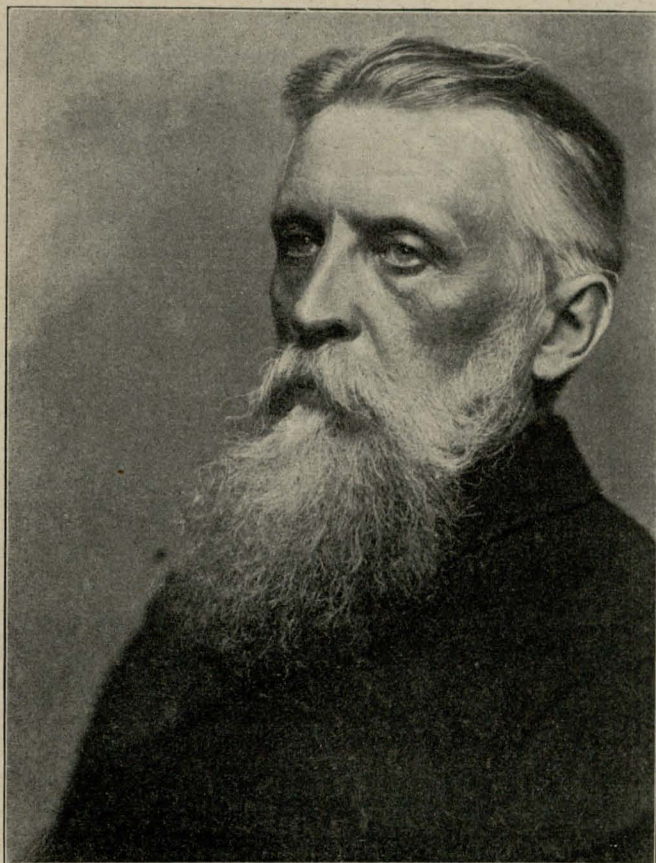
Krótki, ale niezmiernie bogaty w duchowe następstwa rozwój Szkoły Głównej dostarczył krajowi całego zastępu umysłów szerszych, niezależnych, charakterów czynnych a szlachetnych, które łączyły zapał do roboty społecznej w duchu obywatelsko-narodowym z żarliwością postępowo-demokratyczną, trzeźwym zrozumieniem zadań nowej pracy wewnętrznej i wiarą w potęgę wiedzy, odżywiającej żywotne soki narodu.

Wśród tej ruchawki literackiej, która szybko zamieniła się na umysłowo-społeczną reformę w szerszym znaczeniu tego słowa—Aleksander Świętochowski należał do umysłów najsmielszych, twórczych i samodzielnych. Urodzony dnia 18-go stycznia 1849 roku w Stoczku, pobierał średnie wykształcenie w Siedlcach i Lublinie, należał do najgorliwszych i najbardziej pracowitych studentów na wydziale historyczno-filologicznym Szkoły Głównej, ale tak samo, jak wybitniejsi wychowawcy tego wydziału, poszedł śmiało naprzód w kierunku filozoficzno-krytycznym, przekroczył zakres teorii i pojęć wiedzy urzędowej, wchłaniając w siebie najżywotniejsze prądy myślowe, nowatorskie swego czasu. Pracę mozolną, systematyczną i wytrwałą łączył on z niezwykłą samorzutnością umysłu i bystrością filozoficznej analizy.

Miał głębsze skłonności myśliciela, a zarazem temperament nowatora, polemisty, rozpęd człowieka walki, szermierza idei, burzyciela pleśni i starzyzny, wroga wszelkich przesądów, ciemnoty i beocyci umysłowej. Jako literat, debiutował paroma spokojnymi recenzjami w *Tygodniku Ilustrowanym* i w *Gazecie Polskiej*, spłacił nawet w całości daninę muzom, skazując na zagładę płody młodzieńcze. Indywidualność jego zarysowała się odrazu silnie, typowo w całym szeregu artykułów społecznych i polemicznych, pomieszczanych w *Przeglądzie Tygodniowym*, którego redaktor, Adam Wiślicki, pierwszy odczuł potrzebę umysłowej reformy i zatrafił nową pobudkę.

Z niezmierną siłą przekonania, mocą argumentacji i ciętością słowa Świętochowski przeprowadzał różne punkty nowego społeczno-literackiego programu, obalając skryształizowane pojęcia we wszystkich dziedzinach ruchu umysłowego, walcząc z prasą konserwatywną, dogmatyzmem w nauce i filozofii, zwietrzałym sentymentalizmem w literaturze, chłoszcząc pruderyę i obłudę w obyczajach, politykomanię, senne przeżuwanie tradycji (*Młodzi i starzy, My i wy, Trzeźwi i pijani*), nawołując do „Pracy u podstaw“, wskazując „Nowe drogi“ pracy społecznej i walcząc w imię podniesienia umysłowego kobiet.

Był on człowiekiem walki, szermierzem kul-



Aleksander Świętochowski.

tury, widomą głową młodej prasy, radykalistą i doktrynerem obozu postępowego. Pobił przeciwników siłą argumentacji, barwnością wymowy, gnębił albo rozdrażniał ciętością swych ciosów, miażdżył skorupy przesądów i odzierał z aureoli powagi ówczesnego literackiego Parnasu, szydził z przeżytków romantyzmu i nałogów wstecznicstwa w swych ciętych notatkach polemicznych, pomieszczanych w „Echach“, głośnym wówczas felietonie *Przeglądu Tygodniowego*. W artykułach poważnych głębszy i ścisły, jędrny i skupiony, czasem krańcowy i zapamiętały w polemicznym zapędzie,



Aleksander Świętochowski z czasów uniwersyteckich.

ośniewał blaskami świetnego stylu, przebogata obrazowością, misternym wykończeniem frazesów, z którymi to przymiotami łączył giętkość, dowcip, pełen ciętości i sarkazmu. Odrazu zabłysnął pierwszorzędym talentem pisarskim, w którym filozoficzne pogłębienie łączyło się ze świetnymi przymiotami obrazowego *stylu*, pełnego przebogatej ornamentacji, z darem bystrej dyalektyki i miażdżącej ironii.

W ruchliwej pracy dziennikarskiej i walce po-

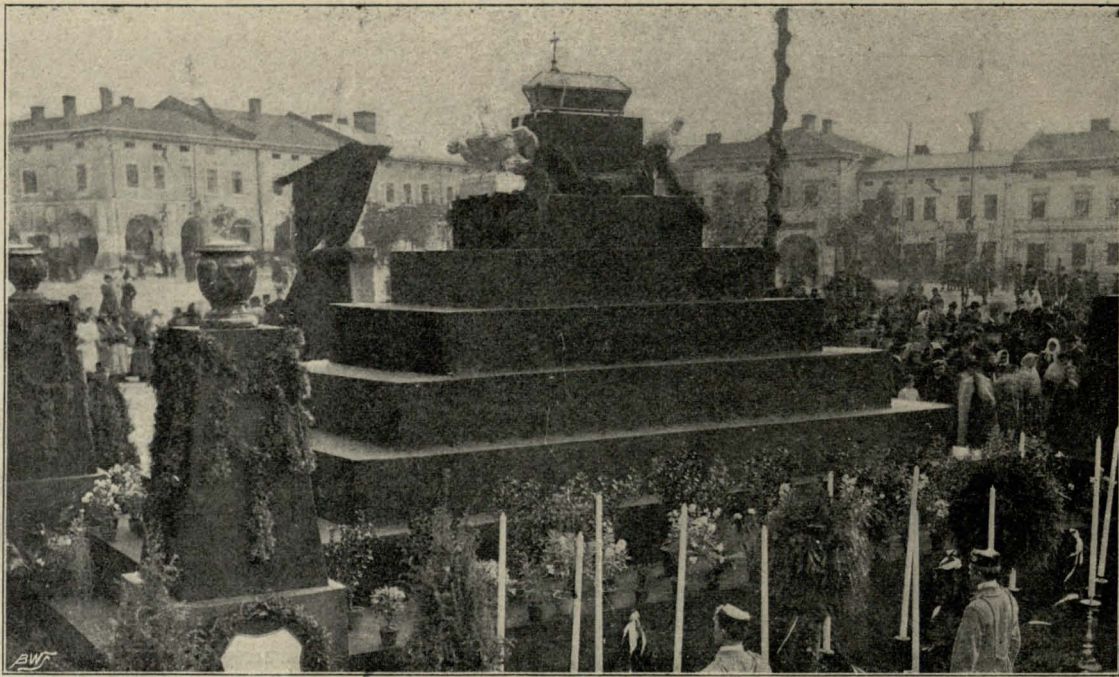
djazdowej wyładował zapędy swej młodzieńczej energii, jednakże one nie zadowolili głębszych potrzeb i dążeń duchowych. W r. 1874 Świętochowski o własnych siłach wyjeżdża do uniwersytetu w Lipsku i bawi tam półtora roku, dzieląc czas pomiędzy studia naukowe a nową pracę twórczą, artystyczną. Z dziedziny filozofii zajmowały go zagadnienia etyczno-społeczne, geneza praw i norm postępowania, „formuł stosunków woli między jednostkami społecznymi, które w rozwoju społecznego życia okazały się koniecznymi lub pożądanymi“.

Jego rozprawa niemiecka, za którą otrzymał stopień doktora filozofii na uniwersytecie lipskim (*Ein Versuch die Entstehung der Moralgesetze zu erklären*), zamieniła się na obszerniejszą polską książkę filozoficzną „O powstawaniu praw moralnych“ (Warszawa 1877 r.), w której na podstawie filozofii ewolucyjnej objaśnia genezę praw, jako „utrwalonych norm społecznie uporządkowanej woli ludzkiej“, łącząc znacznego stopień oryginalności myślenia filozoficznego z argumentacją mocną, wykładem jasnym i zajmującym. Ten etyczno-społeczny kierunek stanowi naczelną cechę umysłowości i przebija się w całej następnej, niesłychanie bogatej, różnorodnej działalności Świętochowskiego, twórczej, popularyzacyjnej i publicystycznej. Jako twórca samodzielny, rozpoczął pod pseudonimem Okońskiego działalność

swoją głośnym dramatem „Niewinni“ (r. 1876), w którym dotknął niezmiernie głębokiego problemu odpowiedzialności moralnej i rozwiązał go w duchu pojęć filozoficznego determinizmu.

W ramach kompozycji scenicznej idea zbyt szeroka nie mogła być dokładnie wcielona w artystyczną plastykę, ale Świętochowski w tym pierwszym występie okazał talent miary niezwykłej. Poprowadził zwłaszcza akt I z niepospolitą siłą dramatyczną i sprawnością techniki, rozwinął ciekawą analizę uczuć i namiętności ogólnoludzkich, napełnił całość szeregiem świetnych dyalogów i wytwornych dysertacji, stworzył jednym słowem pierwszy w literaturze naszej dramat *ideowy*, który miał także niepospolite przymioty sceniczne, zajął żywo umysły, obudził gorące polemiki i dysputy. Świętochowski w tym utworze zapowiadał się, jako świetny dramaturg w rodzaju Al. Dumasa (syna), podejmujący jednak tematy i zagadnienia daleko ważniejsze, niż autor „Półświatka“, któremu nie dorównał pod względem analizy uczuć i namiętności realnych, ale przewyższył go pięknnością języka i pogłębieniem filozoficznym.

Gdyby Świętochowski był zdolny do kompromisów literackich, gdyby umiał się nagiąć do wymagań teatralnej techniki, miał więcej praktycznego zmysłu i umiał dążyć do powodzenia—byłby został pierwszorzędym pisarzem scenicznym i wywarłby na rozwój teatru polskiego wpływ ogromny. Chociaż forma dramatyczna odpowiadała częściowo naturze jego czynnego umysłu, jednakże nie miał on w sobie ani krzty ambicji teatralnej, stał zawsze z daleka od świata scenicznego, jego gorączkowych zabiegów, ambicji, przemijających tryumfów. Myśliciel, człowiek idei, działacz społeczny przeważał w nim nad artystą bezinteresownym, a gonitwa za efektem i poklaskiem była prosto wstrętną dla jego charakteru, w którym dumne samopoczucie mocy duchowej łączyło się z fanatyczną czcią dla swobody indywidualnej i arystokratyzmem umysłowym. JÓZEF KOTARBIŃSKI



Sokolstwo zaciąga straż przed katafalkiem z trumną, wystawioną od wczesnego rana.



Katafalk ze złożonemi przez delegacje wieńcami.

Fot. M. Münz.

POGRZEB HETMANA.

„Skażony wiek... siła złych, niebaczących ludzi” — biadał niegdy najznamienitszy z Polaków, hetman nad hetmany, Stanisław Żółkiewski. A jednak i wiek się odradza, i szlachetniejszą ludzkość! Dowód choćby w tem, iż wielkich swoich, świeczniki narodu, poczcic już umiemy godnie.

Dostojny przeto tył pogrzeb szczątków hetmańskich, dostojny nie tylko ciżbą przemnogiego ludu, ale i udziałem gromadnym wszelkich, co na Rusi Czerwonej mają mir i znaczenie, dostojny wreszcie i podniosłym iście nastrojem. Głośny dawniej gród, Żółkiew historyczna, za ledwie objąć zdołała w szanownych swoich murach uczestników chwili, olbrzymi rynek, ognisko pogrzebu, przepelniały dziesiątki tysięcy skupionego tłumu. Dzień chmurny, zimny bardzo, dżdżysty, sępnością przygniatający, jasny wszakże duch tego, co żadnej *pro bono publico* nie lękał się imprezy, bogiem stał się męstwa i wytrwania, ów duch hetmana potężny ożywił tu wszystko i wszystkich!

Uroczystość rozpoczęła się o godzinie 11-tej pochodem z błoni (na których *anno olim* hasała przed wiktoryą wiedeńską husary), kierowanym do placu rynkowego. Pochód to imponujący, a barwny tak, jakby jakiś niewidzialny mistrz-artysta z tajemniczej palety rzucał na światło dnia co najpyszniejsze kolory czasów minionych i teraźniejszości... Co się tu bowiem nie mieszało społem? Więc granat setnych zastępów młodzieży i szaro-amarantowe mundury pułków sokolstwa konnego i piechoty; więc kierezye, sukmany, płonące czapki i białe chusty włościaństwa; więc konwencyonalno-czarne fraki i siwe kapoty mieszczkańskie, obok bogatych soboli na deliach i pstrych pasów słuckich; więc jedwabne, długie żupany synów Izraela przy fioleciach biskupów i mnisich kapturach; więc złociste krzyże, chorągwie kościelne, sztandary i godła cechowe antyczne i wieńców moc, od kutych w żelazie aż do uwitych z liści srebrnych, z zielonego wawrzynu i ponsowych róż...

Nieprzejrzaną tedy okiem wstęgą wily się drużyny sokole z gniazd całej Rusi, postępowali w ordynku uczniowie wszystkich gimnazyów galicyjskich, dalej członkowie towarzystw uczącej się młodzieży: akademickiej, handlowej i rzemieślniczej, delegacje gmin żydowskich, kupiectwo, przemysł, technika, palestra i medycyna, korporacje strzeleckie z insygniami od Zygmunta Augusta, stowarzyszenia kobiece, brać literacka i artystyczna, przedstawicielstwa miast i powiatów, senaty akademickie Krakowa i Lwowa, wreszcie sodalicje maryjańskie i grono poselskie. Nie brakło, zda się, jednego

ciała, które nie miałyby tu swego zastępcy. I wszystko to kroczy wśród bicia dzwonów, huku wystrzałów z moździerzy i dźwięku licznych kapeli.

Zaczem pochód przystanął w samym środku miasta. Tu, na szkarłatnym, według objawionej kiedyś woli Żółkiewskiego, katafalku spoczywały od wczesnego rana prochy hetmańskie, zamknięte w szklanej małej trumience. Orły były ich podłożem, szumiały im proporce. „Z kości tych powstał mściciel”... Przechodząc około relikwii narodowych w pełnym czci milczeniu, składano palmy i wieńce, składano ich tyle, iż ten wielki, co nie zaznał uznania za żywota, tonął dzisiaj skróś kwiatów.

Teraz od stopni, wiodących do szkarłatnego również ołtarza, przemówił marszałek krajowy, Stanisław hr. Badeni, krótko, górnio i porywająco. Odzywa się dzwonek ministranta. Wychodzi z sumą arcybiskup, prymas Galicyi, ks. Józef Bilczewski. W czasie Ewangelii zgrupowane tu głównie z kołem poselskiem obywatelstwo ziemskie, potomkowie rycerstwa, Lubomirscy, Sapiehowie, Czartoryscy dobywają starym obyczajem karabeli, a gdy już umilkł szczęk chowanych do pochwy ostrzy, począł kazać w zwrotach, owianych miłością i tchnących zapachem, ks. biskup Władysław Bandurski. Po mszy i śpiewach „Echa” na umyślnie wzniezionej mównicy ukazywali się kolejno: prezes koła polskiego Stanisław Głabiński, naczelnik Związku sokolstwa, Ksawery Fiszer, burmistrz Żółkwi, Franciszek Sheybal. Pierwsi dwaj mówcy nawoływali do posłuchu, karności i podniesienia ludu; ostatni polecał „kolebkę orłów” pamięci narodu. Odczytano również przepiękne orędzie Henryka Sienkiewicza.

Uroczystość zbliżyła się ku końcowi. Duchowieństwo odprawia przy katafalku *Castrum doloris*, celebrians wzywa głośno do odmówienia pacierza „za duszę ś. p. Stanisława Żółkiewskiego”, i gdy tłum zbożnie uklęka, tę szklaną małą trumienkę zdejmują czterech najprzedniejszych druhów sokolich, aby na swoich ramięch unieść ją na miejsce wiecznego spoczynku do krypty kolegiackiej. Grzebią bohatera, więc grzmi palba moździerzy; grzebią chrześcijanina, przeto żegnają go odwieczne dzwony. Do podziemi za trumną wchodzi tylko: arcybiskup, marszałek kraju, przewodniczący koła polskiego, konserwator Aleksander Czołowski, burmistrz Żółkwi, prezes rady powiatowej żółkiewskiej, Tadeusz Starzyński, i radca dworu, Julian Szumlański, inicjator uroczystości, najgorliwszy, pełen pietyzmu opiekun precennych pamiątek żółkiewskich. Ostatniemu

aktowi asystowali nadto członkowie rodu hetmana z p. Antonim Żółkiewskim na czele.

Z pomiędzy tych, którzy nie mogli uczestniczyć w uroczystości, wielu w telegramach i listach dało uczuciom swoim wyraz. Oto, co znajdujemy w zakończeniu pisma ks. arcybiskupa Józefa Teodorowicza: „I tak ten bohater, co tyle uczynił za życia, równie skutecznie działa i po śmierci. Z popiołów serca bohatera, który na polach Cecory załakł się nawet samej pokusy ocalenia życia, więc ją ubiciem konia pokonał zwycięsko, niechaj—mówię i tych popiołów wynijdzie płomień, spalający serca w miłości Boga i Ojczyzny, uczący dla niej umierać. Nie na polu bitwy, co prawda, ale umierać bodaj czy nie w równie trudnych zapasach, bo umierać sobie w codziennem poświęceniu dla obowiązku; umierać samolubstwu, co swoją prywatę wynosi ponad sprawy Ojczyzny; umierać lenistwu, które, gdy wszystko dokoła płonie, ręk po ratunek nie wyciąga; umierać wreszcie duchowi niekarność i rozprężenia!” *tc.*

ODCHODZĘ..

Dal woła dobra, dal pogodna,
oto od ciebie już odchodzę,
a jakom przyszła, idę głodna,
nie błogosławiąc twojej drodze.

Nie uciszyles z tęsknot żadnej,
nie osuszyles łez goryczy,
nie wsparles myśli mej bezwładnej,
nie chciales w błękit bezgraniczy
ze mną ulecieć dumnym szlakiem,
twój skarbiec dla mnie bywał pusty,
gdym ja cierpiała wielkim brakiem,
tyś zbierał miód chciwemi usty.

I nie wiem, czyś był za ubogi,
czy skąpy dla mnie,—lecz po tobie
został popielny ślad pożogi,
została cisza, jak na grobie.

Puhar mej wiosny, dar ochoczy,
spełniles w krótkiej chwili do dna...

Odchodzę. We łzach moje oczy,
i jakom przyszła, idę głodna...

SAVITRI.

KAROL ESTREICHER.

STRAŻNIK NARODOWEJ CHWAŁY.

Dnia 30 z. m. o godz. 9 wieczorem uległ długiej i ciężkiej chorobie raka kiszek zasłużony bibliograf polski, Karol Estreicher. Śmierć ta 81-letniego spracowanego starca nie mogła być dla nikogo niespodzianką, ale mimo to wywarła głębokie wrażenie wszędzie, gdzie nauczono się oceniać ogromną zasługę, jaką ś. p. zmarły dla nauki polskiej położył.

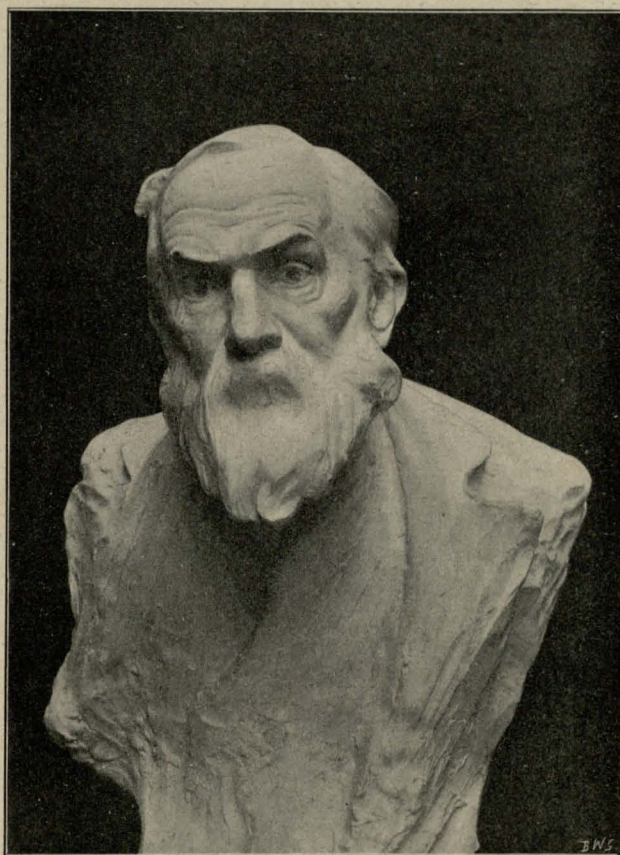
Ś. p. Karol Estreicher był wnukiem Dominika, nadwornego malarza Stanisława Augusta, a synem Rafała, profesora nauk przyrodniczych na uniwersytecie Jagiellońskim. Ukończywszy studia uniwersyteckie, ś. p. Karol Estreicher poświęcił się służbie rządowej, chociaż ani na chwilę nie wzięt rozbraut z umiłowaną przez się literaturą. Przeciwnie, pracował nad nią z właściwą sobie niestrudzoną pilnością. A jednym z owoców tej pracy było dzieło o „Adamie Mickiewiczu, które zwróciło nań uwagę Wielopolskiego i utworowało mu drogę do Warszawskiej Szkoły Głównej, gdzie pełnił urząd bibliotekarza i wykładał bibliografię polską aż do r. 1869, kiedy to po śmierci dyrektora biblioteki Jagiellońskiej, Męczkowskiego, jego powołano na ten posterunek. Pracował na niem ś. p. Estreicher lat 37 bez przerwy. W tym czasie biblioteka Jagiellońska powiększyła się niemal czterokrotnie i dzięki jego niestrudżonym staraniom wzbogaciła się mnóstwem dzieł i rękopisów pierwszorzędnej bibliograficznej i naukowej wartości.

Ale nie sam rozkwit powierzonych Estreicherowi biblioteki, nie znane jego, powszechnie uznane znawstwo głębokiej historii teatru polskiego zabezpieczyło mu nieśmiertelność. Pomnikiem trwałszym od spiżu, który sam sobie zbudował, jest opracowana przez niego „Bibliografia polska“.

Pięćdziesiąt lat swego niesłychanie pracowitego życia poświęcił ś. p. Estreicher temu dziełu i stworzył je też takie, że podobnie mu żadne piśmiennictwo w Europie poszczycić się nie może. Jest to kompletny inwentarz druków polskich od najdawniejszych czasów, obejmujący dotąd 24 tomy, nie licząc tych, które znajdują się obecnie w druku i których korektę ś. p. Estreicher jeszcze na łożu śmierci wśród boleści straszliwych przeprowadzał.

Szerokie sfery czytającej publiczności nie zdążyły jeszcze wyrobić sobie dokładnego pojęcia o ogromie i wartości tej pracy. Wymaga ona osobnej monografii, aby jej znaczenie należycie wyświetlić. Dziś znają je dobitnie uczeni i pisarze, których zastęp ogromny przewinął się w ciągu lat czterdziestu przez skromny pokój niestrudzonego dyrektora, który zawsze był chętny do udzielania nieocenionych skazówek, zawsze wiedział jeszcze coś, czego inni nie wiedzieli.

Ale, jakkolwiek olbrzymią, dla nas, młodszych, wprost niemal niepojętą była praca ś. p. Estreichera, nie zaspokajała ona jednak tej żądzy trudu nieustannego, która, zdawało się, paliła ciągle tę jasną i piękną duszę. Rozprawy, artykuły, nekrologi, przeważnie z dziedziny teatru i sztuki dramatycznej, wychodziły bardzo często z pod jego pióra i szły w świat zwykle bezimiennie lub tylko skromną literą „E“ oznaczone. Zebrane przez Estreichera materiały do historii teatru w Polsce leżą gotowe do użytku dla przyszłego dziejopisa tej dziedziny naszej kultury. A coroczne sprawozdania o teatrze krakowskim, które zmarły przedkładał Wydziałowi krajowemu, zdobyły sobie już

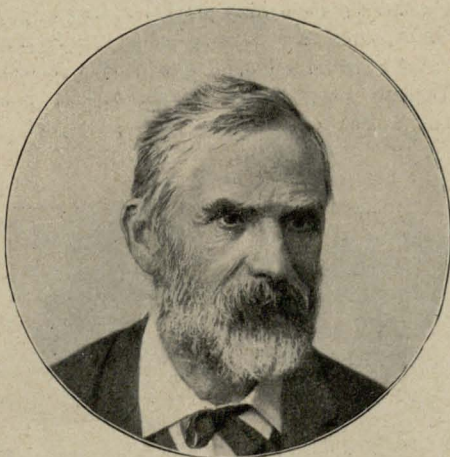


Karol Estreicher, Rzeźba Wacława Szymanowskiego.

dawno ustaloną markę pierwszorzędną wartości dokumentów historyczno-krytycznych.

W r. 1906 ustąpił ś. p. Estreicher ze stanowiska dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej. Ale jej nie opuścił bynajmniej. Za specjalnym pozwoleniem ministerium oświaty zarezerwowano dlań pokój, w którym mógł swoje studia bibliograficzne dalej kontynuować. I kontynuował je też pilnie, wytrwale i z energią, która z tego osmdziesięcioletniego starca czyniła wiecznego młodzieńca, niestrudzonego i nieustraszonego rycerza pracy.

To też nad grobem, w który dnia 2 b. m. składano ciało ś. p. Estreichera, zebrało się wszyst-



Karol Estreicher. Fot. J. Mien.

ko, co Kraków miał najprzedniejszego i na zasługi dla nauki polskiej najwrażliwszego. W szeregu mów podniosłych sławiono słusznie te zasługi, wskazując jednomyślnie na to, że w daleką krainę cieniów nie odchodzi on wszystek, że duch jego wiecznie żyć będzie w jego wiekopomnym dziele.

K. S.

Na tle cudownego podwórca Biblioteki Jagiellońskiej, pamiętnego moim oczom, jak baśń, zaklęta w cegłę i kamień, widnieje mi postać, związana z gmachem tym na zawsze, jak łączy się niepodzielnie z ciałem bijące w niem, żywe, gorące serce.

Postać ta uczonego, ruchliwa, czynna, pełna życia i wiecznotrwalej, zda się, bujnej, nie wędnącej młodości, ani zakrzepla wśród starych gockich ksiąg, malownych pergaminów i butwiejących bibułek, ani zamarła dla otaczającego świata, ani zasklepiała się w sobie, lecz przeciwnie, z przeszłości czerpała najłocistsze promienie przeminionego życia i hojnie ciskała je dniom dzisiejszym, rozświetlając mrok, budząc cześć dla narodowych relikwii i osypując kwiatami pamięci to, co na pamięć zasłużyło.

Widzę wśród sal książnicy tę postać, tak ujmującą i miłą, tę wyrazistą, myślącą twarz, te pełne zapалу oczy, i głęboki żal przejmuję mi serce nawskroś, że człowiek ów odszedł już w zaświaty, że opuścił starożytny skarbiec kultury polskiej jego dobry, opiekuńczy duch. Karol Estreicher był istotnie duszą Biblioteki Jagiellońskiej. Kochał on te księgi, pomniki naszej dawnej chwały i dzisiejszego odrodzenia, jak kocha się to, co idzie z własnego serca, co odzywa się głosem krwi własnej, wołającej: „Tyś nasz! my twoje!“

Jak każdy człowiek prawego serca i głębokiej wiedzy, był on uczynny i dobry. Dla młodych pracowników na polu literatury pomoc Karola Estreichera była kluczem, otwierającym wspólnie zamknięte piśmiennictwo przeszłości naszej. Nigdy nie zapomnę światłych rad i wskazówek Karola Estreichera, dawanych mi podówczas, kiedy studiowałem starą polszczyznę. Z pogodnym uśmiechem, z serdeczną życzliwością, z przejęciem się rzetelnym i szczerem cudzemi sprawami poświęcał mi godziny całe swego drogiego czasu, pokazując starożytne zabytki mowy polskiej i wyjaśniając ich znaczenie.

Poczucie piękna, smak estetyczny, zapal dla pracy naukowej odziedziczył po ojcu i dziadzie. Ukochał też scenę polską i jej dzieje przedstawił w jasnym świetle ze znawstwem niepospolitem i z nakładem długoletniego trudu.

Ilekcć razy wezmę do ręki jedną z ksiąg pomnikowego dzieła zgasłego uczonego, a tak jak każdy z piszących, brać je muszę często, przypomina mi się niestrudżony mąż, który pokazał nam samym i światu całemu, iżesmy od wieków siewcami prawd złotych byli, iżesmy pełnili służbę swoją uczciwie a wiernie, iżesmy szli zawsze jedni z pierwszych na czele wielkiego pochodu ludzkości z płonąca jasnym światłem pochodnią wiedzy i piękna.

Więc, gdy zawarło się trumienne wieko nad tą szlachetną głową i nad tem czystym a miłym sercem, serdeczną łzą żalu żegna go naród cały, a pamiętny zasług autora „Bibliografii polskiej“, powinien uczcić jego pamięć tak, aby się rozradował ten pracowity, niezmordowany duch.

Niech na tem cudnym podwórku bibliotecznym stanie w marmurze wykute popiersie zmarłego i niech te czuwające oczy patrzą przez długie, długie lata na to, czego były strażnikiem i czcicielem.

ARTUR OPPMAN.

Przełomowe chwile.

Kraj padyszacha zalany krwią...

Od dłuższego już czasu współczesna Persja stała się widowiskiem potwornych scen, a depesze z Teheranu i Tebrisu roznosiły coraz okropniejsze wieści. I naród perski musiał przejść przez ten krwawy chrzest, jaki prawie wszędzie odbywa się wtedy, gdy życie polityczne ulega całkowitym przeobrażeniom wewnętrznym.

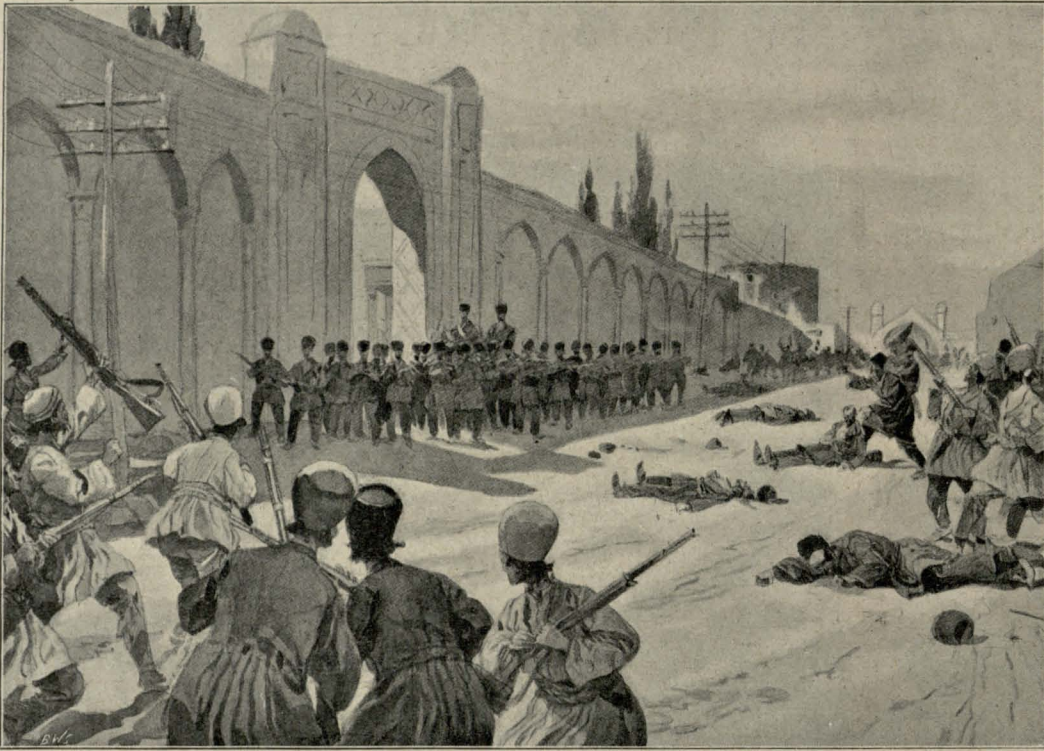
Monarchia perska zawsze była autokratyczna i rządzona podług iście wschodniego szablonu, lecz poprzedni już monarcha, szeroko znany w Europie ze swoich podróży, umierając, zgodził się na wprowadzenie w kraju konstytucji, opartej na wzorach europejskich. Nieszczęściem wszakże Persji stał się jego syn, obecny szach perski, Mohamed Ali.

Młody, despotyczny, ulegając namowom reakcyjnych i pełnych ambicji kurtyzan, postanowił usunąć zniechęconego medżilis, z którym miał dzielić władzę w państwie. Przy pomocy wiernych sobie kozaków pod dowództwem Lachowa dokonał zamachu z niespodzianą łatwością. Bezbronny medżilis zbombardowano w kilka godzin, liberalów, zasiadających na jego ławach, w endżumenach i w redakcjach gazet, uwięziono i pomordowano z wyrafinowanym okrucieństwem, a stolicę państwa zmuszono do milczenia, oddając ją na łup i pastwę wiernych szachowi wojsk.

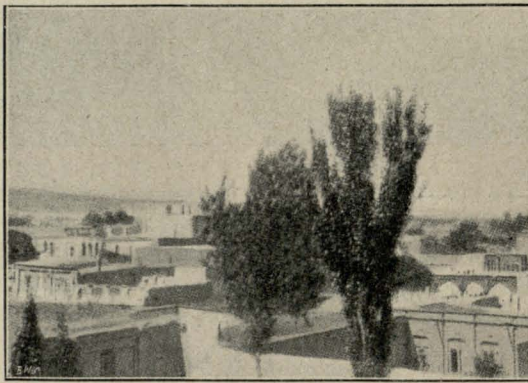
Od tej pory cała Persja stała się widowiskiem okropnych scen. Wszystkich współczujących ruchowi konstytucyjnemu poddano srogiej katuszy. Egzekucje odbywały się publicznie. Kozacy i sarbazi pod dowództwem oficerów znęcali się nad ludnością, pozostawiając wszędzie okrwawione, bezkształtne trupy. Aresztowania przybrały przerażający charakter. Winnych i niewinnych zakuwano w łańcuchy i odstawiano do Bago-sza, gdzie rozpoczynały się straszne męki i tortury, by wykryć głównych przywódców. Wielu nie zniósło męczarni i zmarło. Wśród aresztowanych znajdowali się nawet ci, którzy posiadali pełnomocnictwa różnych misji europejskich.

A Mohamed Ali, uderzywszy wówczas ręką o głownię swej brylantowej szabli, krzyknął w upojeniu: od dzisiaj ja tylko panować będę! Perspektywa ta musiała mu się wydać rozkoszną. Bo czyż to nie rozkosz panować w państwie, w którym niema ani parlamentu, ani partii politycznych, ani opozycjonistów, a jeżeli się jaki pojawi, to natychmiast wieszka się go głową na dół na murach miasta!...

Zakosztowawszy tej wschodniej rozkoszy, Moha-



Tłum rewolucjonistów przed bazarem w Tebrisie.



Tebris.

med Ali zbyt się pośpieszył z tryumfem, gdyż wierne wojska, które tak po bohatersku sprawiły się z bezbronnym medżiliszem i z ludnością Teheranu, straciły całą swoją werwę, natrafivszy na zorganizowany i zbrojny opór endżumenów i ludności w Tebrisie, którego przywódca, Satar chan, zadał szereg haniebnych klęsk półdzikiem i do ostateczności zdemoralizowanym wojskom szacha. Zwycięstwo Satar-chana miało ten skutek, iż rzeczywista władza Mohameda i nadal stała się bardzo ograniczoną, sięgając jedynie do odległości strzałów z armat, którymi szach otoczył swoją letnią rezydencję. I oto wytworzyła się bardzo przykra sytuacja, gdyż należało albo poddać się wymaganiom rewolucjonistów, albo uciekać z kraju. I jedno, i drugie było nie pocieszające.

Dopiero „przyjacielska” anglo-rosyjska nota wprowadziła szacha z tej bardzo trudnej pozycji. „Król

królów”, jak się Mohamed Ali oficjalnie tytułuje, czuł się zmuszonym do wydania „dask-chat'u”, zwołującego medżilis i senat na 14 listopada. Spodziewać się należy, że wyznaczenie terminu otwarcia nowych izb przedstawicielskich uspokajająco wpłynie na ludność w Persji, zwłaszcza że mocarstwa tym razem za nic nie dopuszczają, aby szach odwołał swe rozporządzenie. Czy jednak Mohamed Ali, ulegając obecnie interwencji z zewnątrz, nie odkłada sobie przyjemności wypróbowania celności swoich armat na nowym medżiliszem na lepsze czasy, nie wiadomo...

Przełomowe chwile przeżywa obecnie nie tylko Wschód, lecz i Zachód. Wojna wisi w powietrzu, i jeszcze moment, a bojowa pobudka rozpocznie szereg okropnych, przerażających wieści. Wogóle współczesna sytuacja polityczna zaczyna tak się układać, że najgłówniejsza nawet wyrocznia nie byłaby w stanie przewidzieć

losów Europy w XX w. Nadzwyczajnie skomplikowanie różnych politycznych wydarzeń, mnóstwo złożonych zadań, wymagających natychmiastowego rozwiązania, to wszystko ponure skały, o które łatwo rozbić się może dzisiejszy spokój i lęk przed wojną, który łączy obecnie wszystkie mocarstwa. Nic pokoju rwie się coraz bardziej.

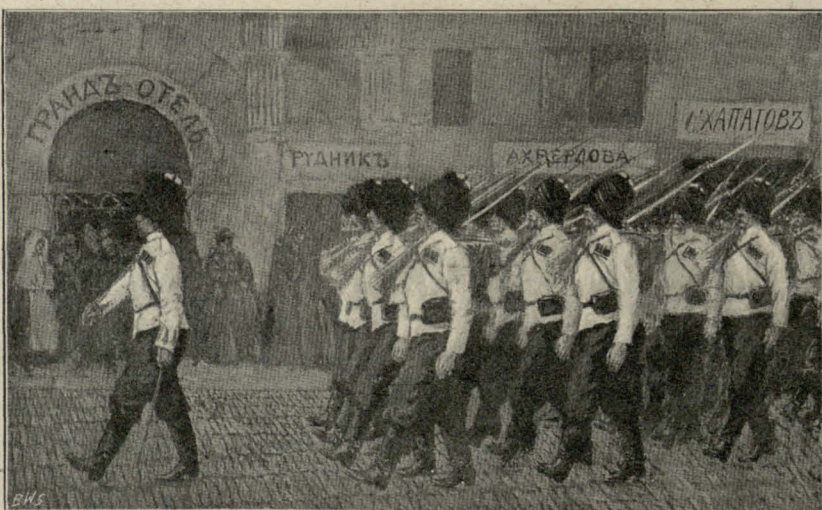
Aneksja Bośni i Hercegowiny nie znajduje aprobaty ze strony Anglii, która bardzo energicznie zaprotestowała przeciwko tej politycznej niespodziance. Również groźnym się staje bagatelizowany do tej pory konflikt turecko-bułgarski, który wywołał już ultimatum ze strony Turcji,

dotyczące zwrotu w przeciagu 3 dni kolei wschodnio-rumelijskiej.

Co z tego wyniknie, wkrótce zobaczymy. W każdym razie ciężkie chmury zaczynają pełzać na horyzoncie politycznym świata, burza już się rozpoczyna.



Satar-Chan, przewodca stronnictwa konstytucyjnego w Tebrysie.



Straż przyboczna szacha, kozacy Lachowa.



Podwójny łańcuch skazanych na śmierć opozycyjnych dostojników w Tebrysie.

NA PODOLU

Z CYKLU: „WIEŚ“.

Jakby z Polowskiej „Pieśni o ziemi“ wyrwana karta.

Dwie plamy krajobrazu w ramach szumiącego w kamienistym łożysku Bohu...

Jedna—szmat bujnej, bogatej ziemi-mołodycy... Wiatr od niej szumką podzwania, a co wionie, hen! od Braclawia, od Kamienieckiej opoki wspomnienia niesie.

Druga—miasto, latoci gród starościński... Winnica!

Migocą w jesiennym słońcu tafle blaszanych dachów, błyszczą się ściany budowli, nad spiętrzonym pagórkami brzegiem rzeki zawieszane...

I jeszcze jedna plama, bajecznie kolorowa! Krasna!

Rzekłbyś: pęk stepowych burzanów, w mury zatknięty...

Zalutuje od niej wsią, wsią pachnie... rolę uskibioną mówi... rozhoworem wiejskiej gromady!

Czekam, rychło-li rozlegnie:

Hop! moi hryczanyki

Hop! moi miły...

Wystawa rolnicza!

Furczą barwne chorągiewki z nad kępy pawilonów, szeleszczą kołysane wiatrem płótna namiotów! rżą kłusujące na okólniku konie.

Iście obóz, jak za Kuryatowiczów, Koreckiego księcia, lub którego z Sanguszków rodu starosty, przeciw nawale tatarskiej rozbity!

„I swego czasu śpiewak nie obwini...“

W środowisku wystawy wre.

Cały wrzątek wrażeń! cały kalejdoskop typów!

Leci bałagulska czwórka w poręcz, jakby z Brandtowskiego obrazu wycięta, tyle, że nie do najtyczanki, lecz do wygodnego powozu założona.. Za nią drugi, trzeci, czwarty... ekwipaż... Czwórki w lej! w szydło. Służba, z angielska odziana, czasem kozaczek w barwie, jak na przypomnienie.

Typowy podolski „myszures“ u bramy wjazdowej co chwila pokrzykuje w formie objaśnienia:

— *A graj Grocholski, a Jaroszyński, a Rusanowski! a Rakowski! a Miłobędzki!*

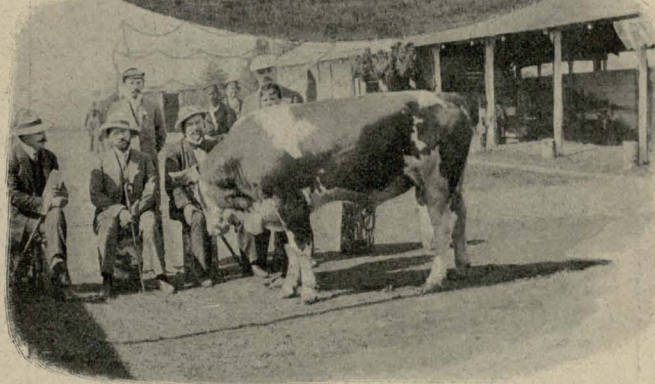
I cmoka z podziwu...

Bo tu wszyscy kochają się w koniu.

Taka już ziemia! Czatownią była przez wieki, a koń na czatach to przyjaciel nierozłączny.

O! choćby takie araby hr. Z. Grocholskiego.

Podobnych musiał dosiadać imć pan Bazyl Pretficz, słynny zagończyk, gdy na harce z Tatary ruszał, lub janczarskie rotę niewielkim komunikiem w stepowych jarach przytłumiał.



Czwórka podolska i okaz przed ekspertami.

Jeden cisawy, dobra maść! parsknął rozdętymi nozdrzami, pióra nastawił i grzebie nóżką po okólniku...

Jak w piosence.

Dziwią się tej prezencji „syna wschodu“ angiłki ze stada Rakowskich i Miłobędzkich...

Kontrast dwóch kultur widoczny! Równie piękne, więcej jednak dbające o przepisy poprawnej etykiety, spokojnie przyglądają się cisnącym się wokół widzom.

Z pewną obojętnością nawet.

Może dlatego, że ich wspomnienia nie sięgają po czarnomorskie stępy. Bo i szlachetny zwierz ma także swe tradycje rodowe i czuć je musi.

„Miła oku i licznym ożywiona płodem,

Witaj, kraino, mlekiem płynąca i miodem!“

No! miodem to niekoniecznie, a przynajmniej nie w czasach dzisiejszych.

Dziś w inną patokę opływa, z innej pasieki słodczy czerpie.

Widać ją z nadbożańskiego wzgórza. Dymi olbrzymim kominem... Gniewań!

Burak cukrowy zastąpił roje pszczelne i rośnie w milionach berkowców!

Zmieniły się czasy.

Nie socha, w sześć par siwych wołów zaprzężona, orze ziemię-mołodycę.

Chodzą po niej angielskie pługi Ransome'a, ze stali kute pogłębiacze, nieraz po kość tatarską sięgają.

I rodzi się burak cukrowy, złoty kłos pszenicy całymi milami wyrasta, warczą żniwiarki Mac-Cormiaka, na dawnych rozłogach kłębią się dymy młocarni parowych.

Inne czasy, inni, choć podobni, ludzie, tylko ziemia ta sama, bujna, żyzna, rodliwa... *licznym ożywiona płodem!*

Gdzie rzuci okiem, czy na pyszne okazy holendrów i siementalerów, wyhodowanych na niwach Teleżnicz, Konstantynowa, Kosowiec, czy na bukiety kwiatów i pęki warzyw, czy na klatki „z ptactwem czubatym“—wszędzie czujesz jej moc i siłę.

Tylko czasy się zmieniły.

W inną „czynów stal“ uderzono, rycerz przeobraził się w rolnika, po Pretficzach, Koreckich, Sanguszkach, Jabłonowskich, co na starostwie wiennickim zasiadali, przyszli Grocholscy, Michałowscy, kość z kości, i obóz obywatelskiej pracy rozbili.

Ale coś z dawnej rycerskiej fantazyi pozostało i trwa.

Bo oto...

Wali młodź ziemiańska na przeszkody.

Jeden... drugi .. trzeci...

Hop! hop!

Siedzą, jak przyrosli do konia!

Konie w skoku!.. na wiatr grzywy!

Hop! hop!

Przelecieli... Tylko tuman kurzu za nimi, jak czworobok rozbity!

Zawracają...

Hop! hop!

Koń i jeździec jedna dusza, jedno ciało!

Przelecieli...

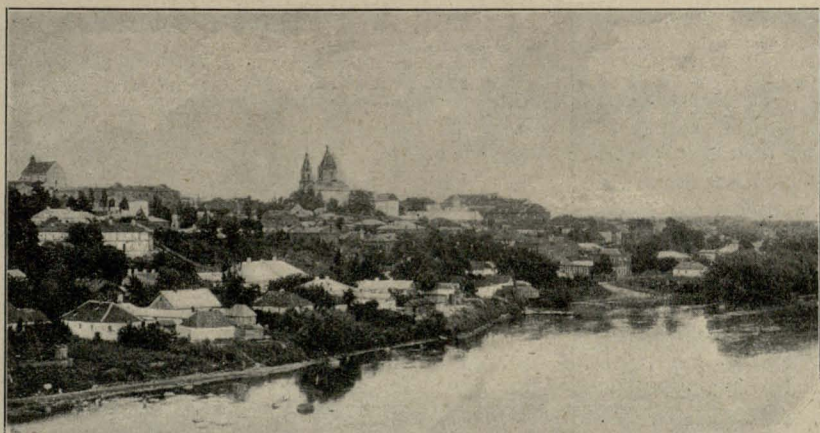
Cmokają „myszuresy“, grzmi kapela, jak szypułki barwnych kwiatów, podnoszą się drobne rączki uroczych Podolanek do okłasku!

Płoną modre i piwne oczy i patrzą.. Tak patrzą.. że...

„Na koń! chcę słońca i wichrów tętentu!“

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego“ prosimy o wniesienie opłaty na kwartał czwarty roku bieżącego.



Ogólny widok Winnicy.



Komitet wystawy i prezesowie poszczególnych działów w Winnicy.

- 1) Antoni Urbański, 2) Edward Starza-Jakubowski, 3) Hr. Rem. Grocholski, 4) Hr. Tad. Grocholski (jun.), 5) Henryk Gomuliński, 6) Artur Russanowski, 7) Aleksander Russanowski, 8) Czesław Starza-Jakubowski, 9) Hr. Tadeusz Grocholski, 10) Edw. Boniecki, 11) Hr. Zdzisław Grocholski, 12) Ambroży Baranowski, 13) Aleksander Weryha-Darowski.

WIECZORY TEATRALNE.

Nowa trzyaktowa sztuka Gabryeli Zapolskiej „Skiz“, wystawiona w Rozmaitościach na otwarcie sezonu zimowego. — Sekret wierności małżeńskiej ujawniony. — Kwiat doskonałej roboty pisarskiej, lecz bez woni poezji i artyzmu. — „Ostatnia Rzymianka“, sześćoaktowa tragedia Teodora Jeske-Choińskiego, oraz źródło jej niepowodzenia w Teatrze Małym. — Otwarcie sezonu operowego. — Nowy dyrektor artystyczny Filharmonii. — Konkurs dramatyczny polski dyrekcji Teatrów Warszawskich.

Dla rozwiązania t. zw. „kwestyi małżeńskiej“ musi istnieć przepis dwojaki: jeden podający nieomylny sposób utrzymania żony przy mężu, drugi — męża przy żonie.

Drugą tę receptę dała nam p. Gabryela Zapolska w trzyaktowej komedyi swej „Skiz“. „Skiz“—to atut najwyższy w grze, zwanej tarokiem; kto kartę tę ma w ręku, ma też i wygraną. Przyzwyczajenie się męża do żony aż do tego stopnia, że obejść się bez niej nie może już w życiu, oto co daje w rękę żonie wszechwładny *skiz*, atut niezwalczony, *dominium absolutum* nad mężem. Mąż, przyzwyczajony do żony, nie oderwie się od niej—nigdy. *Quod erat demonstrandum*.

Demonstracja tego... pewnika odbywa się metodą pogładową na tle partyi, we czwórce rozegraney między dwoma mężami i dwiema żonami. Tolo i Muszka z jednej strony, Wituś i Lula z drugiej. Sfera: nadzamozne obywatelstwo wiejskie na Podolu. Miejsce akcji: wspaniały prastary pałac wiejski, rezydencya, należąca do Witusia i Muszki.

Siwiejący eks-lowelas Tolo zostaje zaszczycony wybuchem namiętej miłości młodziutkiej i śliczniutkiej pani Muszki. Dopieroż będzie miał w życiu jeszcze jedno cudowne — *intermezzo*! Nie, bynajmniej. Tolo ma nadwątłone zdrowie, i sam prolog nowej erotycznej przygody już go—fatyguje srodze. A do żony, pielęgnującej go z niezmierną troskliwością i nie narażającej go na... fatygę, przywykł okrutnie. Tedy Tolo wycofuje się pośpiesznie z ramion nazbyt impetycznej pani Muszki i wraca na tono prawowitej małżonki swojej, pani Lulu. *Skiz* pani Lulu odnosi zwycięstwo nad wszelkimi komplikacyami. Wygrała—ona!

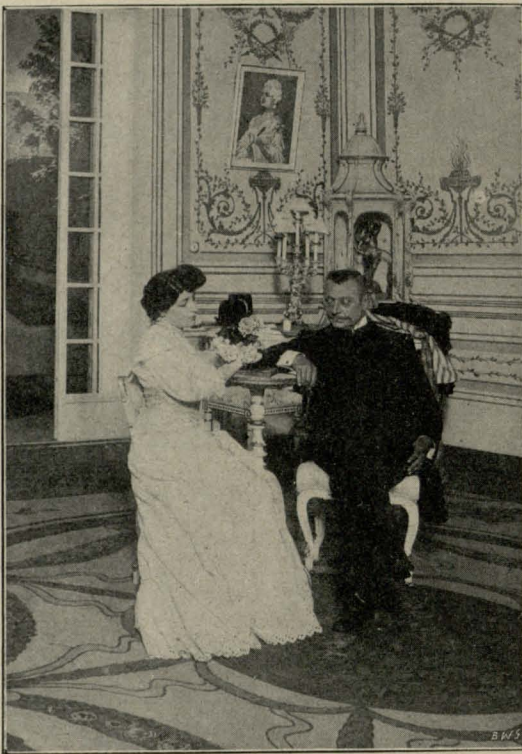
Incydent tymczasem drugiej pary (tęgi, krewki, biorący kobiety przebojem Wituś i zalotna sybarytka pani Lulu) nie przekracza granic gorącego, ale też i krótkiego flirtu. Słowem, rzecz cała mogłaby od biedy uchodzić za kompletnie—moralną. Mogło, co prawda, stać się to i owo, lecz—nie stało się.

W tym wypadku nie „krótkość czasu stała na zawadzie“, lecz—wbrew sofistycznym wywodom p. Zapolskiej—stanął na przeszkodzie... mocno podgrujnowany długoletniem używaniem życia organizm p. Tola.

To też, jak się okazuje, wyborna gwarancya wierności małżeńskiej, też swojego rodzaju *skiz*.

Widać zaś z tej najtreściwszej ekspozycyi sztuki, że motywy w niej grają nie tyle psychologiczne, ile fizyologiczne. Nadaremnie przetyka p. Zapolska wszystkie trzy akty sentencyjami prawie filozoficznymi, a w pierwszym akcie usiłuje skonstruować nastrój sugestyjny, kładąc obu paniom tańczyć gawota przebrany w suknie autentyczne prababek wesołej pamięci z czasów *roccoco*, w sali pałacowej, zachowanej nie tkniętą od czasów króla Stasia, oraz w świetle księżycy. Wszystkie te akcesorya nie zdolne są ukwiecić ani pœzyą, ani głębszą psychologią sztuki, dość płytkiej i na brutalnym naturalizmie osnutej. Podłoże to wyziera niedyskretnie raz po raz poprzez doskonale i zręcznie prowadzone dialogi, poprzez wykwinne stroje pań i panów, poprzez sztuczną z wielu względów atmosferę środowiska, przypominającego nader mało sfery wysokiego *high-lifu*.

P. Zapolska zna na wylot trudny kunszt pisanja dla sceny. Spodobało się jej tym razem spróbować sił w istnym majstersztuku, polegającym na wypełnieniu trzech aktów akcją tylko czterech osób. Wirtuozostwo pisarskie nie zawiodło autorki „Ahaswera“, „Moralności pani Dulskiej“, „Małki Szwarcenkopf“, i „Ich czworga“. Dopisały: satyryczne, mocne zacięcie, trafność obserwacyi wielu szczegółów i rysów, dopisał miejscami humor—nie dopisał tylko smak artystyczny, ustępując zbyt wiele miejsca ordynarym, do trywialności efektem.



Scena z aktu 3-go z komedyi G. Zapolskiej „Skiz“. Muszka p. T. Trapszo-Krywultowa, Tolo p. E. Wolski.

Fot. J. Golcz.

Zbyt szybko w ciągu sztuki pozdmuchiwała autorka sama początkowe postacie *roccoco* i porwała związek zapowiadającej się jakiejś wytwornej i subtelnej, płoczej napozór igraszki, a z bardzo wykwinnym i wyrafinowanym elegijnym odcieniem. Wszystko to przysło, zatarło się i utonęło w banalnych krotchwilnych efektach...

Szkoda.

Premierowa, najwyszukańsza, całkiem już „sezonowa“ publiczność, asystująca w ubiegłą sobotę otwarciu sztuką Zapolskiej sezonu w Rozmaitościach, byłaby najsympatyczniej przyjęła ot, stylowy, filigranowy, misterny—mariwodaż. Taka pianka, ale doskonała, ma przeciw swój urok i—cenę. Tymczasem podano ze sceny na salę—omal że nie zrazy *à la* Bałucki.

Nic innego, tylko zawód ochłodził atmosferę sali, doskonale usposobionej już dziś dla teatru wogóle. *On ne demandait qu'à applaudir!* W braku zaś pretekstu dla... nieklaskania zdecydowano, że sztukę źle grano. Żle? Nie ośmieliłbym się tego twierdzić. Trzymano się najściślej tekstu i zamiarów autorki. Może nie grano „koncertowo“ i nie z jednolitą finezyą (zwłaszcza p. Siennicką prosiłobyśmy o wyraźniejszą dykcję i grę bardziej naturalną), ale tych pierwiastków, których w sztuce niema, żadna gra nie potrafiłaby jej dodać.

Z wielką starannością i precyzją wystawiono „Skiz“ i wyreżyserowano. Ze szczerem uznaniem i przyjemnością stwierdzamy wielką pod tym względem zapobiegliwość nowej dyrekcji i nowej reżyseryi. Poziom artystyczny naszego teatru dramatycznego podnosi się w szybkim tempie.

* * *

Całkiem innego pokroju utwór dramatyczny, również oryginalny, wystawił tymi dniami Teatr Mały Gawałowicza: wykrojona z powieści własnej przez Teodora Jeske-Choińskiego tragedya sześćoaktowa „Ostatnia Rzymianka“.

Ostatnią tą Rzymianką z IV wieku po Chrystusie jest westalka Fausta Auzonia, która śmierć sobie zadaje w chwili, gdy zastępy „barbarzyńskie“, zalawszy Rzym, burzyć zaczynają pogańskie świątynie. Dodać trzeba, że Fausta kocha chrześcijanina, jednego z wodzów rzymskich wojsk Winfrydusa Fabrycyusza, z plemienia Allemanów, ale zwalcza tę miłość swoją, niegodną i kapłanki i obywatelki, a ponieważ i Fabrycyusz ją kocha, przeto dumna i hartowna Rzymianka w śmierci szuka wyjścia z piekielnego, tragicznego konfliktu.

Autor szeroko zakreślonych, wielkich historycznych powieści, tłómaczonych na kilka zagranicznych ję-

zyków, nie jest pisarzem scenicznym. Zawodzący prawie zawsze eksperyment przerabiania utworu powieściowego na utwór sceniczny dał i tym razem rezultat niepomyślny. Na domiar fatalnego zbiegu okoliczności dzielnemu i niepowszedniemu zespołowi artystów Teatru Małego, mających wciąż do czynienia z repertuarem nowoczesnym, zabrakło eksperyencyi i wprawy dla odtworzenia koturnowej tragedyi o szerokim geście i w patos obfitej. Sztuka nie mogła mieć powodzenia i nie zaznała go.

W roli historycznego konsula Italii, Aureliusza Symmachusa, święcił premierowego wieczoru jubileusz dwudziestoletniej pracy scenicznej jeden z najwybitniejszych artystów Teatru Małego, p. Wł. Staszkowski. Gorącą i serdeczną owacją uczczono tę uroczystość.

* * *

Sezon operowy rozpoczął się, nie jak projektowano, „Meistersingerami“ Wagnera, lecz dawną już wielokrotnie w sezonie ubiegłym „Wandą“ Dopplera. Opery Wagnera nie sposób było na zamierzony termin przygotować.

Naczelne kierownictwo artystyczne Filharmonii objął p. Henryk Melcer ze Lwowa, niepospolity znawca muzyki wogóle i kompozytor wybitny. Lepszy wybór trudno było uczynić.



Henryk Melcer.

* * *

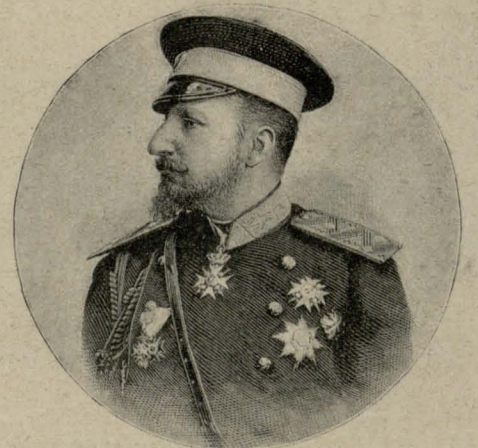
Pozostaje mi do zarejestrowania z najpochlebniejszym naciskiem fakt znamieny.

Dyrekcya Teatrów Rządowych ogłosi niebawem konkurs na utwór sceniczny polski, przeznaczając jako nagrodę *dwa tysiące rubli*. W wyjaśnieniu, złożonem p. generał-gubernatorowi, p. prezes dyrekcji Teatrów, Małyszew, wskazuje w wyrazach, od którychśmy w sferach rządowych dawno odwykli, na potrzebę podniesienia wytwórczości dramatycznej polskiej, oraz na niezbędność podwyższeniu dotychczasowych małych honoraryów, za sztuki polskie wypłacanych.

Względy to tak harmonizujące z zadaniem sceny polskiej w Warszawie, jak my je tu wszyscy rozumiemy, że tylko możemy wyrazić uznanie i sympatyę dla wylonionej przez dyrekcję Teatrów troski o dobro i rozwój sztuki polskiej dramatycznej.

Że rozwojowi temu wielki konkurs warszawski znakomicie się przysłuży—nie wątpimy.

CZESŁAW JANKOWSKI.



Ferdinand Bulgarski, obecnie car niepodległej Bulgaryi.

Wśród faktów i wydarzeń.

O znaczeniu pierwiastka estetycznego w wychowaniu rozprawialiśmy zawsze chętnie i dużo, ale dopiero dziś Warszawa zdobywa się na zrealizowanie swych teorii przez urządzenie arcyciekawej wystawy „Sztuka w życiu dziecka”.

Tryumf na całej linii. Tysiące osób przewija się w salonach Zachęty, nie szczędząc zachwytu i pochwały jej inicjatorom i kierownikom.

Czyż tego rodzaju miłych i bardzo kulturalnych niespodzianek nie należałoby częściej urządzać naszemu społeczeństwu, zwracając jego uwagę i energię ku szlachetnym i palącym zagadnieniom doby obecnej? Boć przecież nie tak, jak pierwiastek estetyczny w wychowaniu, nie było równie po macoszemu traktowane przez nieświadomiony nasz ogół...

Oprócz wystawy „Sztuka w życiu dziecka” mamy jeszcze do zanotowania garść ciekawych faktów i wydarzeń.



Marya Sylwestra Kowalska.

Dowiadujemy się oto, że ś. p. Sylwestra z Krzyżkiewiczów Kowalska, żona p. Apolinarego Kowalskiego, literata i właściciela apteki, zapisała całe swoje mienie na rzecz „Kasy literackiej” z warunkiem wypłacenia kilku legatów... A więc zapis na rzecz „Kasy literackiej”!

Niewiadomo wprost, gdzie zanotować ten niesłychanie rzadki fakt w dziedzinie naszego obecnego życia i jak podkreślić ten wysoce obywatelski czyn zmarłej. Wśród testamentów, które wychodzą od możnych tego świata, często odnajdujemy fragmenty, świadczące, iż wielu pamięta o różnego rodzaju potrzebnych i niepotrzebnych stowarzyszeniach filantropijnych, ale wszyscy prawie zapominają o tych, od których przez całe swoje życie wymagają bardzo wiele—o literatach i dziennikarzach. Im składa się na groby wieńce, często i za życia zasypuje się kwiatami, nie przypuszczając czy też nie chcąc przypuszczać, iż ci właśnie „aureolą sławy i uznania” otoczeni ludzie nie mają za-

zwyczaj na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb kulturalnej jednostki.

Życzyłoby więc należało, aby piękny i szlachetny czyn ś. p. Sylwestry Kowalskiej częściej znajdował naśladowców i skruszył lody obojętności, jakie świat literacki otaczają zewsząd. Niechaj społeczeństwo, które w teorii tak głośno uznaje znaczenie kultury i walkę o byt narodowy, nie poprzestaje na zdawkowej frazeologii, a składa choćby drobne dowody wdzięczności względem tych, którzy stoją na jej czele i w imię jej toczą ciężki, szarpiący bój! Mniej słów i taniego sentimentalnego współczucia, a więcej czynu...

Znamienny i sympatyczny objaw mamy również do zanotowania z dziedziny naszego handlu i przemysłu.

Hasła bojkotu towarów pruskich i nawoływanie do wzmaganja własnej wytwórczości i produkcji powtarzały się niejednokrotnie, lecz, jak to zwykle u nas bywa, wszystko kończyło się na... potoku pięknych słów, wypowiedzianych z nadzwyczaj szerokim gestem, oraz iście polską swadą. Ostatnimi jednak czasy akcja naszego kupiectwa, które odbyło już wycieczkę w celu zawiązania stosunków do pobratymczej Pragi i sympatyzującej z nami Anglii, poczyni przybierać realne kształty.

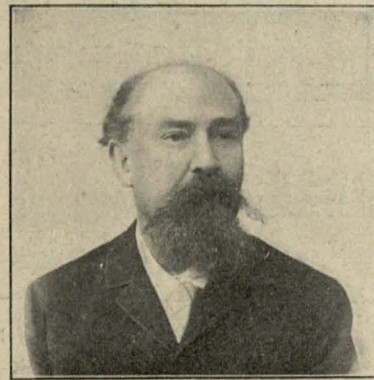
Z radością też powitać można pierwsze u nas polsko-czeskie przedsiębiorstwo handlowe, na którego czele stoi nasz rodak, Bolesław Urbański, i znany w kołach czeskiego kupiectwa pobratymiec, Franciszek Sztampach, którzy wspólnie otworzyli w Warszawie w ubiegłym tygodniu warsztaty optyczno-mechaniczne i elektrotechniczne. Jednym słowem, na małą skalę polsko-czeski alians, a tem sympatyczniejszy, że oparty nie tylko na moralnych, lecz i na trwałych ekonomicznych podstawach.

Nowopowstałe przedsiębiorstwo zatrudnia jedynie Czechów i Polaków, wykluczając przytem najzupełniej wszelką produkcję niemiecką, która szczególnie obficie reprezentowana była dotąd w dziedzinie optyki, mechaniki i elektryczności. Zainicjowane jest z wielką energią i starannością oraz nadzieją na to, że nasze społeczeństwo, poczuwając się do spełnienia pierwszorzędnych

swoich obowiązków, będzie popierało to, co rodzime i swojskie, nie szukając zagranicznej tandety.

Czas bo wreszcie, abyśmy uderzyli w „czynów stal” i porzucili kaskadę „obleśnych” słówek!

Ostatnie dni chwili bieżącej przyniosły pomiędzy innymi żalobną wieść o zgonie Aleksandra Restorffa, wiceprezesa warszawskiego sądu okręgowego, jednego ze znikających już dziś przedświadczeń i e li naszego sądownictwa, których znało kilka pokoleń naszej pa-lestry.



Aleksander Restorff.

Z jego śmiercią w sądzie okręgowym pozostało już tylko dwóch wyższych urzędników Polaków, którzy, jako niedobitki licznej ongi rzeszy, piastują nadal swe urzędy.

Ś. p. Aleksander Restorff należał jeszcze do tej grupy aplikantów sądowych, która rozpoczynała swą karierę w odmiennych warunkach, przed zawieruchą roku 63. Przez całe swoje życie zmarły był szanowany i ceniony w szerokich kołach nie tylko jako niezmiernie zdolny prawnik i doskonały znawca kodeksu francuskiego, lecz także jako nieposzlakowanej prawości charakteru człowiek. Cześć pamięci jednego z ostatnich sądowników polskich!

R. K.

Sprostowanie.

W wierszu K. Tetmajera p. t. „Fragment” w numerze 39 Tygodnika zaszła omyłka druku: zamiast „w jaśń świetlaną” powinno być: „w jaśń świetlaną”.

Deklaracja autorów.

W chwili oddania numeru Tygodnika pod prasę, dochodzi rąk naszych „Deklaracja autorów”, którą podamy w najbliższym numerze naszego pisma.

N A D E S Ł A N E.

„F. KOZŁOWSKI” Telef. 39-99 **NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO:** Lamp, Porcelany, Fajansu, Szkła, Galanterii, Noży, Widelcy etc., etc. Wynajmuje nakrycia stołowe, plastery, bieliznę, krzesła, stoły.

Warszawa, Rymarska 7, róg Leszna **S. Nowacki**

ŻYRANDOLE kościelne i salonowe do świec i gazu. Wielki wybór. Najniższe ceny. Reperacye i odnawianie żyrandoli.

W wielkim wyborze przyzmy kryształowe do żyrandoli. Jedyny palnik naftowo-żarowy bez wszelkich komplikacyi 60% oszczędności nafty. Komplet rub. 3.

KORALE PRAWDZIWE czerwone, różowe i białe
TOREBKI damskie,

PASKI DAMSKIE i dla dzieci w wielkim wyborze
POLECA

STEFAN POREBSKI
Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNA i SKA FABRYKA MASZYN I KAMIENI MŁYŃSKICH BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE. OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.



Zdzisław Zdanowicz
Kraków, ul. Sławkowska 3,
poleca w wielkim wyborze
Kufry, Necessery, Plaidy.



ALFONS MANN Wyroby stalowe ostre, tylko w wyborowych gatunkach: Brzytwy. Maszynki do golenia i do strzyżenia. Noże ogrodnicze. Sekatory.
Warszawa, Tłomackie 3.
Fabryka założona w 1819 r.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
EKSTRAKT I KARMELKI

LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości **B. WIERZEJSKI**

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

FRANCUSKA SZKOŁA KROJU I SZYCIA **M-me MÈRCERE**
Nowy-Swiat № 42
dyplomowanej w Paryżu mistrzyni, system nowy, genre tailleur, mouflage, bielizna.
Patenty cechowe.



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

Koncesjonowana przez c. k. Namiestnictwo
SZKOŁA MALARSTWA
(DLA MĘŻCZYZN I KOBIET)
Leonarda Stroynowskiego
Kraków, Gołębia Nr 14.
Kurs rozpoczyna się 1-go października.

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANOŁE,
ORGANY,
MELODYKONY



GEBETHNER i WOLFF

Warszawa, Krak.-Przed. 17

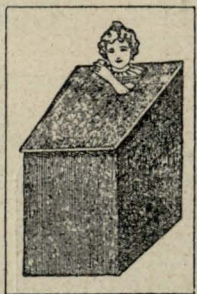
MAISON 'SPLENDID'

MAGAZYN

BIELIZNY PARYSKIEJ

Bluzek wiedeńskich

Warszawa, Czysta 2.
Telefon 190.20.



Łazienka

parowa pokojowa składana, dla artretyków, reumatyków i kataralnych

Niezbędny środek

poleca.

J. ROKIGKI i S-ka

Warszawa, Nowo-Senatorska № 1.

Cenniki gratis.

PLYN
Cena flak.
rub. 1.

HEMOGEN MAGISTRA KLAWE

najracjonalniejszy preparat żelaza.

stosowany przy ogólnem osłabieniu, małokrwistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku.

Uznany przez powagi lekarskie, ja-
dzielny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt.

Wyrób laboratorium apteki
Magistra Klawe, Warszawa,
10 Pl. Św. Aleksandra.

ZAKŁAD OGRODNICZY
C. ULRICHA

w Warszawie, Ceglana 11.

Poleca na nadchodzący jesienny czas sadzenia wielkie zapasy drzew owocowych w koronach (około 400 tysięcy). Drzewa i krzewy ozdobne, drzewa iglaste, róże i t. p. Katalog drzew wysyła się na żądanie.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
Browaru
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach,
spirytusowe lampy, palniki,
kucharki, żelazka i t. p.
B. CIA WIŚNIEWSKI i S-ka
Foksal 18, Telefon 3069.

MAŁECKI



Fabryka
Fortepianów
i Pianin

PIĘKNA Nr 1 (róg Alei
Ujazdowskiej) tel. 170.65.

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala
świątego Łazarza
Nowosenatorska 10. Telefon 942. Choroby
skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKÓW TELEFON 671

ODPOWIEDZI.

Oktavia. List do oceny grafologicznej wraz z 50 kop. na odpowiedź otrzymaliśmy. Z powodu nagromadzenia dużej ilości listów do oceny musi Wpani poczekać czas dłuższy na odpowiedź.

P. Stebelin. Jak wyżej.

Skryty. Jak wyżej.

Stalemu prenumeratorem. 1-o. Dyrekcyja teatrów warszawskich konkurs ogłosiła, wiadomość w dzisiejszych „Wieczorach teatralnych”. 2-o. Przeważnie co rok, najlepiej zwrócić się o bliższe szczegóły wprost do wydziału krajowego we Lwowie.

P. M. S. Szeliga. W podobnych wypadkach najlepiej zasięgnąć rady u specjalisty, unikając pomocy osób bez kwalifikacji.

MILUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaże elektryczne** usuwają rapturę, nie krępują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów **w dobrym gatunku.** Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie **Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.**

LECZNICA DLA DZIECI

D-ra Juliana Gawrońskiego

Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11
rano. **Porada 50 kop.**

P. A. S. w Czernihowie. Przegląd Filozoficzny wychodzi w dalszym ciągu. Adres—Smolna Nr. 15.

P. Waleryanowi Czaj. Tyle już pisa-
no o Hamlecie (p. Matlakowski, który przy-
tacza całą literaturę przedmiotu), że trudno
nam się zdecydować na umieszczenie Pań-
skiego szkicu, chociaż zawiera niektóre
trafne poglądy. Rękopis odesłaliśmy wska-
zanej redakcyi.

Zbigniew G. Pierwszy użył i utwo-
rzył słowo „jazn” Bronisław Trentowski.
O stacyach klimatycznych poinformuje „Prze-
wodnik po Europie”. Wśród prac literac-
kich do ciekawych w tej mierze należy
„Półwysep krymski w poezyi” J. Kłaczki.
Kazimierz D. Adres H. Gallego—
Kopernika 12 m. 4.

P. Emilowi Koźm. Wiersze Pańskie
zdradzają wielki brak obycia z piórem wo-
góle, pomijając poszczególne usterki stylo-
we i wersyfikacyjne. Radzimy przestudyo-
wać należycie utwory naszych wielkich
poetów doby romantycznej i utalentowa-
nych twórców ostatniej epoki, zapoznać się
z teorią stylu i wiersza (Chmielowski:
„Stylistyka polska”, Bem: „Teoria poezyi
polskiej”), a potem dopiero będzie można
się swoich naprawdę spróbować.

P. Piątka. Prosimy o podanie pseu-
donimów, gdyż inaczej nie możemy spraw-
dzić.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście № 15** dom Hrabiego **J. Potockiego**

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Latkiewicza i S-ki, Warszawa